



# Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XXVIII Nr 11(327) Zelów, listopad 2023

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

## W numerze:

**Wiersze:** Józefa Zenona Budzińskiego, Renaty Diaków, Ignacego S. Fiuta, Janiny Jurgowiak, Iwony Pinno, Adama Bolesława Wierzbickiego  
**Andrzej Dębkowski** – *Dekady przemian, bez zmian...*

**Józef Baran** – *Ławeczka Barana* (12)

**prof. Maria Szyszkowska** – *Filozofia codzienności* (205)

**prof. Ignacy S. Fiut** – *Poezja obrazów, dźwięków i kolorów*

**Stefan Jurkowski** – *Jak zostałem dyktatorem*

**Joanna Friedrich** – *Świat jest mały. Na szczęście nie wszystkie komórki są szare*

**Andrzej Walter** – *Podróźni bez biletu*

**Kazimierz Ivosse** – *Wyrwane z klatki czasu sny...*

**Mirosław Osowski** – *Moja walka z rakiem* (50) oraz *O tych zapomnianych z Kazachstanu słowo*

**Eugeniusz Kurzawa** – *Spis treści* (14)

**Jerzy Lengauer** – *Dziennik Brakonieckiego*  
**Switłana Bresławska** – *Manuskrypt Piotra Prokopiaka*

**Joanna Słodyczka** – *Zanurzyć się „W przestwór”*

**Ewa Radomska** – *Poezja bliskim słowem pisana*

**Jan Stępień** – *Kilka refleksji o upadku kultury w nowej Polsce*

Witryna

Opinie

Noty

Poglądy

Informacje

Kronika

Konkursy

Szkice

Eseje

Publicystyka

Felietony

Krytyka

Filozofia



Z cyklu: Pejzaże Polski

Fot. Andrzej Dębkowski

## Konkursy

### Międzynarodowy Festiwal Filmów Animowanych ANIMATOR 2024



Organizatorem festiwalu jest Estrada Poznańska.

17. Międzynarodowy Festiwal Filmów Animowanych ANIMATOR odbędzie się w dniach od 25 czerwca do 6 lipca 2024 roku w Poznaniu.

Międzynarodowy Festiwal Filmów Animowanych ANIMATOR w Poznaniu to największy festiwal filmu animowanego w Polsce. Pierwsza edycja odbyła się w 2008 roku i stanowiła kulminację obchodów 60-lecia Polskiej Animacji. Podczas każdej edycji festiwalu prezentowanych jest ponad 300 filmów z całego świata, w tym retrospektywy, przeglądy, premiery czy rzadko pokazywane dzieła pionierów animacji.

Od 2017 roku ANIMATOR jest festiwalem kwalifikującym do nominacji Oscarów.

Sercem ANIMATORA są konkursy towarzyszące Festiwalowi od jego inauguracji. W ramach festiwalu organizowane są cztery konkursy:

- Międzynarodowy Konkurs Krótkometrażowych Filmów Animowanych (filmy zrealizowane po 31 grudnia 2021; do 30 minut),
- Międzynarodowy Konkurs Animowanych Filmów Pełnometrażowych (filmy zrealizowane po 31 grudnia 2021; powyżej 40 minut),
- Konkurs Polskich Filmów Animowanych (filmy zrealizowane po 31 grudnia 2022; do 30 minut),
- Międzynarodowy Konkurs Animowanych Seriali (filmy zrealizowane po 31 grudnia 2021).

Zgłoszenia mogą przysyłać szkoły artystyczne, szkoły filmowe, firmy produkcyjne, instytucje filmowe, indywidualni twórcy oraz inne podmioty posiadające do tego prawo. Termin zgłaszania filmów mija 17 grudnia 2023 roku.

Pula nagród wynosi 120.000 zł.

Storna festiwalu: <https://animator-festival.com/news/animator-2024-otwiera-nabor-filmow-i-seriali-do-konkursow-miedzynarodowych-i-konkursu-polskiego/>

### XIV Ogólnopolski Konkurs Literacki „Fantazje zielonogórskie”



Zielonogórski Klub Fantastyki Ad Astra ogłasza XIV edycję otwartego konkursu literackiego Fantazje Zielonogórskie na opowiadanie fantastyczne inspirowane przeszłością, teraźniejszością lub przyszłością Zielonej Góry. Prace powinny być osadzone w konwencji szeroko pojmowanej fantastyki (sci-fi, fantasy, horror, legendy miejskie, realizm magiczny, itp.) splecionej z wątkami zielonogórskiej historii lub codzienności.

Najlepsze konkursowe opowiadaniabrane zostaną w postaci antologii.

Czternasta edycja to nie lada wyzwanie! Dlaczego? Bowiem WINO, KOBIEITY i ŚPIEW to bardzo poważna sprawa. I właśnie takie motto będzie przyświecać naszemu konkursowi podczas tej odsłony.

Czy będzie to dramat czy komedia? A może sensacja? Biesiady, hulaszczcze życie, uczty a również intrygi – pozostawiamy wam wybór, jak podejść do całego tematu. To wszystko zależy od waszej wyobraźni! Jesteśmy bardzo ciekawi, jak w tym roku zinterpretujecie nasz temat.

Przypominamy przy okazji, że konkurs towarzyszy Bachanaliom Fantastycznym, wtedy też ukaże się antologia z najlepszymi tekstami nadesłanymi na XIV edycję Fantazji. Zwycięzca konkursu, prócz publikacji i chwały, otrzyma też nagrodę finansową w wysokości 1.000 zł i okolicznościową statuetkę Zielonogórskiej Wiedźmy.

Teksty można nadsyłać do 1 marca 2024 roku (włącznie) na adres: [fantazjekonkurs@gmail.com](mailto:fantazjekonkurs@gmail.com).

Ich objętość nie może przekraczać 35 tys. znaków ze spacjami!

Zapraszamy do zapoznania się z pełnym REGULAMINEM KONKURSU na stronie [fantazje.adastra.zgora.pl](http://fantazje.adastra.zgora.pl)



### I Ogólnopolski Konkurs Ceramiczny im. Leszka Dutki

#### I OGÓLNOPOLSKI KONKURS CERAMICZNY IM. LESZKA DUTKI

POD HONOROWYM PATRONATEM:  
PREZYDENTA MIASTA JAWORZNA  
PAWŁA SILEBETA  
PREZYDENTA MIASTA KRAKOWA  
JACKA MAJCHROWSKIEGO

CERAMIKA  
ARTYSTYCZNA  
CERAMIKA  
UŻYTKOWA

Konkurs organizowany przez:  
młodzieżowy dom kultury  
im. Jaworzniaków  
i  
muzeum miasta Jaworzna



Organizatorami konkursu są Młodzieżowy Dom Kultury im. Jaworzniaków w Jaworznie oraz Muzeum Miasta Jaworzna.

W konkursie mogą wziąć udział uczniowie szkół podstawowych i ponadpodstawowych.

Prace będą oceniane w trzech kategoriach wiekowych:

- szkoły podstawowe: uczniowie klas IV – VI,
- szkoły podstawowe: uczniowie klas VII – VIII,
- szkoły ponadpodstawowe – młodzież ucząca się w wieku do 20 lat.

Do konkursu można zgłaszać prace wykonane z gliny, wypalone w temperaturze ponad 1000 °C.

Wymiary pracy nie mogą być mniejsze niż 20 x 20 x 10 cm i większe niż 50 x 50 x 50 cm.

Zgłoszenia są przyjmowane w dwóch kategoriach: ceramika artystyczna – rzeźba oraz ceramika użytkowa – naczynia.

Prace należy przysyłać na adres Młodzieżowego Dom Kultury im. Jaworzniaków w Jaworznie.

Regulamin konkursu: <https://drive.google.com/file/d/16ZKwLVMkg1sob9PA0ZxNrS82VUfo7Xz/view>

Termin nadsyłania prac mija 27 listopada 2023 roku.

Nagrody:

- Grand Prix (2 nagrody) – 800 zł;
- Nagrody w kategorii „ceramika artystyczna” (w każdej grupie wiekowej):

I nagroda – 400 zł; II nagroda – 300 zł; III nagroda – 200 zł.

Nagrody w kategorii „ceramika użytkowa” (w każdej grupie wiekowej):

I nagroda – 400 zł; II nagroda – 300 zł; III nagroda – 200 zł.

Andrzej Walter

# Podróźni bez biletu

Nasze życie jest wędrówką, odwieczną tułaczką i podróżą w nieznanne. No, może nie wieczną, ma przecież swoje nieuchronne ograniczenia długością życia stale wydłużaną dziś: tyleż szaleńczo, co nieco bezrefleksyjnie.

Ta wędrówka jednak, to bolesna próba odnalezienia siebie i jakiejś cząstki... boskiej, albo też i innej mocy nieznannej, albo też: ulotności piękna ukrytego we wrażliwości wyobrażenia sobie nieznanych światów i... wszechświatów, nowych, przecież wciąż dziewiczych, nieodkrytych i nieznanych, magnetycznie wciągających przestrzeni dla: Twojej i mojej duszy.

Tak też odbieram poezję poetów, którzy mówią, piszą i malują, również moimi myślami, moją wrażliwością, wreszcie moim światem doznań i wartości. Tak postrzegam generalnie siłę literatury, we wchodzeniu w świat kolejnej opowieści, która ubogaci mnie: nową myślą, nowym doznaniem i kolejnym zamyśleniem. Proza, swoją barwnością i sytuacją, która niepowtarzalnie wpłynie na to, kim się staję każdego dnia, a poezja swoją wizjonerską refleksją skłaniającą do obudzenia wszelkich szarych komórek mózgu i wstąpienia na nowy, nieznaną szlak słów i światów.

Tak się dzieje na przykład z każdym nowym tomem **Stefana Jurkowskiego**, który praktycznie zawsze przynosi dozę niepowtarzalnych metafor, nowej przestrzeni pomiędzy słowami i tej niezbędnej do życia pożywki odkrywania nieznanego. Choć niby poeta pisze o tym, co wszyscy widzimy za oknem, o tym czego doświadczamy sami na co dzień, ale pisze jakby *od nowa*, na nowo zastanawiając się nad: losem, czasem i przestrzenią, w której przyszło nam żyć i umierać. W tej wędrówce jest to właśnie „Epizod podróźny”. Epizod roku 2023, ale i epizod niewiele znaczący, a znaczący tak wiele, że znaczący niemal wszystko.

Wszystko bowiem dzieje się tu i teraz. Niby te same dylematy, stare, odwieczne pytania, bez odpowiedzi, ten sam zgiełk, targowisko próżności, powierzchowność i banału tego świata, a w tym wszystkim my, zdani na łaskę i niełaskę czasu, na przemijania i wewnętrznych rozterek, niby tych samych, ale w jakże innych, wciąż w nowych kontekstach, w nowych szatach, nowej codzienności i oczywistości zawsze powtarzającej się i podobnej, ale jednak subiektywnie naszej, beznamiętnie doznawanej i odbieranej, przetwarzanej rzeczywistości z tym jednym, jedynym bagażem doświadczeń i współczesnej może wręcz chorej wyobraźni. (?)

Przyszło nam bowiem żyć w czasach dynamicznych, negujących stare wartości i porządku, w czasach coraz mocniej nienormalnych jak na standardy minionych wręcz tysięcy lat.

Wszystko już było, i było właściwie to samo, ale niestety nie tak samo. Nowe technologie, nowe hierarchie wartości, negacja wszystkiego, spychanie antropologicznej centrali do wnętrza własnej samorealizacji i rozpad empatii pod pozorami medialnych wspólnot przyniosły: pustkę, samotność i rozpacz. Czy to samo przynosi poezja współczesna. I tak i nie.

Właśnie tutaj **widzę szansę na ocalenie nas jako nas**. Lektura „Epizodu podróźnego” w kontekście całej poezji, z której dziś jestem zbudowany, z tych wielkich mistrzów i wielkich buntowników, z liryków i z krzykliwych prowokatorów, z całego zmiksowanego doznania przeczytanych wierszy od Reja po Stachurę, od Jerzyny po Gąsiorowskiego, od pana Y do pani X, z banału i z monumentu – cały ten bagaż mówi mi (Jurkowskim między innymi): **pytam wciąż, bo nadal żyję, poezjuję, bo los świata nie jest mi obojętny, los świata, czyli nasz los – Twój i mój i naszych dzieci. I może nasz los.**

\*\*\*

*nikdy nie spotkałem  
własnej twarzy  
w tłumie  
w eremie  
w trawach  
w morzu*

*widziałem różne  
niektóre nawet podobne  
psychopatyczne zbrodnicze  
prymitywne debilne  
bestialskie  
ale swojej nie spotkałem  
choć po części we wszystkich  
tkwi moja*

*więc jeśli ty chcesz ją spotkać  
próbuj –  
mnie się nie udało*

Mnie również. Jedynie to przekłute lustro. Deformacja i pokuszenie. Tam jednak nie ma naszych twarzy, są podobne. To nie my. To nasze odbicia, a odbicia, jak wiemy podlegają złudzeniom, dążeniom i oczekiwaniom. Podlegają halucynacjom i fatamorganie – zjawiskom i żywiołom typowym dla ludzkiej psychy i samozadowolenia tak obcego prawdziwym poetom.

Stefan Jurkowski zamienił *miasto baczyńskiego na miasto różewicza (...)* trzeba zamieniać poetów. Sprzedawać miejsca (przecież dziś wszystko jest na sprzedaż).

*odwiedzam dawne miejsca  
wchodzę w nazwy wpadam  
w przerwę między słowami spalam się  
w znaczeniach i niezrozumieniach*

*wszystko gwałtownie żyje  
– domy drzewa figury świetlne  
odnawiają blask i kształty*

*pory roku  
obok siebie*

*– zieleń wciąż młoda  
krematoryjny upał  
liście kleją się w deszczu  
śnieg nie topnieje –*

*jednocześnie zatrzymane w ruchu  
na sekundę lub dwie*

Te dwie sekundy to właśnie nasza szansa. Ucieczka z ciągłego, odwiecznego ruchu, z permanentnej płynności, z losu, który skazał nas na doświadczenie końca, na ból pożegnań, na wspomnienie spojrzenia odchodzącego psiaka, którego przestaje wszystko boleć i odchodzi do krainy wiecznych łowów i szczęścia bez bólu, albo odchodzi gdzieś, w nieznanne i nasze czułości pozostają już tylko wzruszającym wspomnieniem. Te dwie sekundy mamy, nic więcej.

To dużo. Dla mnie bardzo dużo. Dla mnie to właśnie wyjaśnia *Wszystko*.

Dla jednych dużo, dla innych niewiele. Na sekundę lub dwie widzimy coś, czujemy i stajemy się poetami. Poetami bez słów, wierszy i poematów. Poetami życia i trwania. W tej optyce każdy rodzi się poetą, ale nie każdy ma odwagę nim się stać. Choć na moment.

Znam nieszczęśników (i nieszczęśnice, przecież wiecie), którym weszło to w krew na dłużej i pałętają się od śmietnika do śmietnika, ubrudzeni, utrudzeni, bezdomni, bezmądrzy i piszą te swoje wiersze, a potem je czytają w niemal pustych salach, a jeśli choć trochę wypełnionych, to rodziną i znajomymi. Znam ich, sam stałem się ich częścią, podzieliłem ich los i los ten uważam za jedyny możliwy. Przeznaczenie. Determinacja. Nie ma w tym przypadku. Jest chyba dziejowa konieczność i każdy z nas staje się tym kim mu było pisane się stać. Tylko cóż to za dzieje (dziejowe), w których zwycięża ta powszechna dziś deformacja?

„Epizod podróźny” to kolejny dobry tom współczesnego polskiego poety, jednego z najlepszych poetów w tym kraju, przedstawiciela najwytrawniejszej dziś formy poezji, mianowicie **poezji próbującej ocalić człowieka w człowieku**. Poezja ostatniej deski ratunku, patrząca współczująco na nasze współczesne niewolnictwo na falach pseudowolności i patrząca litościwie na fałszywe pomniki i cokoły, świadectwa ludzkiej pychy i głupoty. Poezja nadziei bez nadziei, ale z nadzieją w myśleniu i czuciu.

(Dokończenie na stronie 4)

# Podróźni bez biletu

(Dokończenie ze strony 3)

Wyzwolony umysł w poezji. I w tej optyce nadal i na nowo

**Czucie i wiara silniej mówi do mnie / Niż mędrca szkiełko i oko**

Jakie czucie i jaka wiara zapytacie? Bardzo rozsądnie. O to właśnie trzeba pytać. Tak właśnie pobudza Jurkowski – poeta tego świata. Prowokuje do myślenia i do czucia, i do wnikania w głąb istoty i wnętrza. Tak należy czytać Jurkowskiego. Jątrząc wyobraźnię. Śniąc dalej już swoim snem. To poezja dla wybrańców.

*przeszłość to jest dziś  
tylko cokolwiek za blisko  
nawet zaczyna wyprzedzać  
kołysze się przed nami niczym przynęta  
dopaść ją wsłuchać się w minuty  
które jak metalowe kółeczka zdradziecko  
wabią martwą kołysanką  
zagradzają drogę  
dzwonią i dzwonią  
trzymają nas na łańcuchu*

Tym właśnie jesteśmy. Łańcuchem wspomnień, cieniem zbyt bliskiej przeszłości, aby właściwie ocenić czasy i ludzi, ale szukamy, bywamy niespokojni, niezaspokojeni, wiercimy się na tych swoich miejscach, wciąż chcemy dalej i więcej i nienasyceń szukamy pomimo wzlotów, upadków i porażek, dlatego też wszyscy nadal jesteśmy poetami na tej pustyni słowa dzisiejszego świata bezdusznym i bezmózgich marionetek.

I choć osacza mnie przerażenie, wlecze się za mną lęk, wciąż idę wiedząc, że ta wędrówka, to wszystko co mam... – spotkania, wydarzenia, epizody podróźne, kolejne wierzenia...

*napisać długi wiersz  
tylko po co*

*kto przeczyta i pokaleczy  
się o metafory*

*a nawet gdyby –  
słowa spełnią przypisane im role  
ale szybko  
wygasną jak ognisko*

*biwak dobiega końca  
gnij niedopieczona kielbaski*

*posiwałe węgielki  
zmieniają się  
w śniegi*

A śniegi topnieją na kolejnych cmentarzach. Prezes Związku Literatów Polskich Marek Wawrzekiewicz coś o tym wie. Zapytajcie

Go sami, ilu już poetów pożegnał, na ilu pogrzebach rocznie wygłasza te swoje jakże czułe wspomnienia, które na sekundę lub dwie poruszają zgromadzonych, a potem świat toczy się dalej, toczy się jak zwykle... dalej i dalej i tak od wieków i bez końca. Z tym, że dziś poeta, to już nie to samo, co 40 lat wcześniej. To zbyt szybki wybryk ewolucji, którego ogląd i sumienie właściwie przeszkadzają. Niemal wszystkim. Czasami wydaje mi się, że nawet tym bardziej wyedukowanym polonistom, a może zwłaszcza im? Chcą się oni bowiem załapać na karuzelę tego nowoczesnego świata i skamlą żałośnie o oryginalność ponad miarę i za wszelką cenę? Tak to wygląda z perspektywy nagród i wyróżnień, czy nawet odznaczeń.

Wyobraźcie sobie Państwo, że nawet to nasze (ponoć elitarne) środowisko wyhodowało (sic!) frustratów proszących, aby ich powtórnie odznaczono, przy lepszej i szerszej publiczności, gdyż tamta (kiedy faktycznie przyznano to odznaczenie) jak się okazuje była niewystarczająca. Fuj. To się jednak dzieje na naszych oczach. Ludzie, którzy wstydu nie mają i składają takie prośby niemal oficjalnie, mienią się być poetami, działaczami, prezesami, dyrektorami, odznaczonymi tu i tam. Ileż to warte, zapytam, gdyż wszędzie wybrane? No, ale cóż, przecież w CV jakże pięknie to się potem prezentuje, a dalej tak zwany ogół ludzki uważa, że ma do czynienia niemal z Bogiem, a co najmniej z omnibusem, erudytą i przypadkiem renesansu – postacią wybitną. Chroni nas panie Boże przed taką „wybitnością”. Pycha kroczy przed upadkiem.

**Słowacki przecież wielkim poetą był (...).  
Jak to nie był? – skoro był?! (...)**

Wybaczcie Państwo tę dygresję i wróćmy do Stefana Jurkowskiego i jego „Epizodu podróźnego”. Dygresja była o tyle *à propos*, iż takich czasów dożyliśmy. Mieszają nam się wybitni, upadają autorytety, wypaczona młodość narzuca ich brak, mnoży się świat przewartościowań i wątpliwości celowo wzniecanych, aby nadeszło nowe – nowe zapytam – czyli jakie?

Wiersze Stefana Jurkowskiego są między innymi takim sygnałem ostrzegawczym, znakiem przestrogi, czy wołaniem o przynajmniej spuszczanie stopy z pedał przyśpieszenia. Na sekundę albo dwie.

Kolejny dobry tom, chyba już dziewiętnasty, plasuje tego poetę na czele współczesnie tworzących polskich poetów. Oczywiście tych tomów się nie nagradza, bo i po co? Piersi do nagród i orderów wypinają miernoty i ich akolici, gdyż tak jest ten świat zbudowany. Sami go takim budujemy, a potem się oburzamy, że ten i ów trafia w swoisty poetycki niebyt. No cóż – odwaga głoszenia sądów prawdziwych nie jest dziś w cenie, ba, po prostu więcej jest dziś bardzo *à la mode*. Trudno. Niechaj i tak będzie. Poezja mówi na szczęście sama za siebie. Wśród tej garstki czytelników poezji poeta Jurkowski ma zdecydowanie większe grono niż ci nagradzani, zapewniam Was. Zabawne, że dzieje się tak wbrew całej machinie promocyjnej

pewnych lepiej umocowanych środowisk, ale dzieje się tak niestety dzięki temu, że dziś w ogóle poezję czytają tylko elity elit i wybrani z wybranych. Zatem z ekonomicznego, czytaj marketingowego punktu widzenia wysiłki i środki przeznaczane na dźwignię promocyjną bełkotu zamiast poezji nie trafia w grupę docelową, gdyż promotorzy po prostu jej nie znają i nie znajdują. Środowisko i tak wie swoje i czyta Jurkowskiego oraz kilku poetów obecnych na naszych łamach, a nie fanaberie językowe nagradzanych, w których nie za bardzo wiadomo o co chodzi, ale na pewno chodzi o oryginalność, tylko za jaką cenę? Za cenę dalszej deprecjacji literatury chyba jako dziedziny sztuki, a poezji w szczególności jako zbyt trudnej, niezrozumiałej i nikomu niepotrzebnej.

Zostawmy to. Tak wygląda dziś świat poezji. Niełatwy to świat.

Stefan Jurkowski kończy tom bardzo mocnymi akcentami. Zdecydowałem się pomijać tytuły utworów. Ukazują pewne fragmenty, aby płynnie przekazać ferment myśli. Dlatego i ja w swym snuciu refleksji na temat „Epizodu przydroźnego” zdecydowałem się na mocniejsze akcenty.

*zdmuchnięte z powietrza dwa tysiące lat  
– wszystko jest jak było a miało być lepiej*

*wciąż ten sam chłód  
w grocie wyzębionej leży martwa koza  
chmury niczym piwna piana  
szumią w nieznanym*

*języku – znają go nieliczni  
a może wyłącznie tych trzech ale  
oni też wyglądają jakby nigdy nic nie zrozumieli  
idą bez końca bez początku*

*pewnie znowu spóźnieni*

*zacznie bombardować grad  
drogi przebiorą się w szorstką*

*biel jak szpitalne kombinezony  
hełmy bezbarwne maski  
nie do rozpoznania*

My, poeci, zaczęliśmy mówić językiem, który znają nieliczni. Dlaczego to czynimy? Nie wiemy. Przecież czeka nas jak wszystkich, biel szpitalnych kombinezonów i śmierć, która już na nas tam czeka, być może pilniej i chętniej niż na innych. Bo to dziś jest jak... swego rodzaju komedia prawie egzystencjalna

i śmieje się Ten  
Którego Nie Ma

**Andrzej Walter**

Stefan Jurkowski, *Epizod podróźny*. Projekt okładki, kolaże, korekta i opracowanie typograficzne: Irena Nyczaj. Opracowanie komputerowe: Paweł Nyczaj. Zdjęcie autora na okładce: Barbara Marszałek. Oficyna Wydawnicza STON 2, Kielce 2023, s. 90.

Eugeniusz Kurzawa

## Spis treści (14)

(fragmenty)



Fot. Kazimierz Sobacki

## Krzysztof Gąsiorowski

Krzysztof był, ale i wciąż jest dla mnie poetą i człowiekiem szczególnym. Nie tylko dlatego, że to wybitny polski twórca. Ale – subiektywnie – dlatego, że w istotny dla mnie sposób ocenił moją poezję, że dobrowolnie, nawet bez odrobiny sugestii z mojej strony, zechciał się nad nią niekiedy pochylić.

W latach 2000. drukowałem samizdat „Komunikaty 2”, czyli – „K2”, i rozsyłałem, jako komputerowy list otwarty do przyjaciół. W jednym z numerów zamieściłem parę swoich wierszyków. Nagle dostaję maila od Gąsiorowskiego. Brzmi tak: „Geniu, otrzymałem nowe K2. Zapewne wiesz, że jest to najtrudniejsza i najbardziej niebezpieczna góra w Himalajach. Dziękuję. Dzięki Twojemu piśmie czuję się mniej bezradny i osamotniony w »tym kraju«. To dobry numer, świetne szkice i wiersze (zwłaszcza ten Twój: »Polska nie jest przyjemnością«, to wiersz zgoła kanoniczny)”. I dalej inne ciepłe słowa. To czytanie się w moje utwory powtarzało się. Taka scena. Za chwilę zaczyna się w Warszawie, w Domu Literatury na Krakowskim Przedmieściu, kolejny Zjazd Związku Literatów Polskich. Właśnie dobiłem z dworca do naszego związkowego gmachu, wpisałem się na listę obecności, pobrałem mandat i gnam na salę, gdzie – jak to było już wcześniej ustalone – mam pełnić „odwieczną” funkcję tzw. asesora, czyli pomocnika prowadzącego Zjazd. Tymczasem Gąsiorowski tapie mnie na korytarzu, sadza na krzesło, siada obok i spokojnie zaczyna wykładać, że właśnie jest po lekturze moich wierszy, tomiku, i ma takie a takie uwagi. Mówi, patrząc na mnie i nie bacząc na moje nerwowe gesty. – Ten wiersz o Polsce, to jest kanoniczny wiersz, stary, naprawdę – mówi... Ciarki mi chodzą po plecach. Takie stwierdzenie w ustach wybitnego twórcy!

Inna sytuacja. Było to wcześniej, na początku lat 80. Rzadko startowałem w konkursach literackich, gdyż szybko zauważyłem, iż nie załapuję się na żadne nagrody i wyróżnienia. Pewnie nic ważnego w swych propozycjach nie przedstawiałem i jurorzy mnie odrzucali. Lecz wtedy wyjątkowo miałem szczęście. Może dlatego, że w jury był Gąsiorowski? A może tylko on jeden mnie zauważał? Odbywał się konkurs Czerwonej Róży, od lat ogłaszany w Gdańsku. Dziś najstarszy konkurs literacki w kraju. Liczący sobie grubo ponad pół wieku. Wtedy miał ledwie ćwierć wieku. Doostałem w nim nagrodę, a może wyróżnienie – nie pamiętam. Laureaci wychodzili na scenę klubu studenckiego „Żak” (wtedy awaryjnie mieścił się na Długim Targu) i czytali nagrodzone utwory, które publiczność nagradzała zdawkowymi brawkami. Gdy przysłała moja kolej, również odczytałem utwór i wróciłem na miejsce. Cisza. Żadnej reakcji sali. I wtedy wstał Gąsiorowski (może mu się przykro zrobiło, że ludzie tak na mnie zareagowali) i powiedział te słowa: – Państwo tego nie widzą, ale pod tymi sześcioma wersami jest jeszcze biała karta. I ona też „pracuje” na ten wiersz. To było wystąpienie poniekąd w obronie werdyktu jury, choć pośrednio i mojej. Zapamiętałem to zdarzenie, bo – co tu kryć – nikt nigdy publicznie nie bronił mojej poezji. Ani w ten, ani w żaden inny sposób.

Jedno z największych zaskoczeń literackich (ale i publicystycznych) w życiu. Wczesne lata 80., Suwałki. Idę pewnego dnia przez miasto. W kiosku „Ruchu”, który akurat się natopczył na drodze do domu (hotelu, tak naprawdę), odruchowo, jak co miesiąc, kupuję miesięcznik „Poezja”. Czekając na resztę pieniędzy, przeglądam zawartość. I nagle... nie wierzę... – numer otwiera mój szkic „Obecność obok” (przed chwilą odszukałem w archiwum ów numer czasopisma, żeby sprawdzić tytuł). Za tą publikacją oczywiście stał Krzysztof, jako zastępca naczelnego „Poezji”, ale też jako inicjator wydania numeru pod hasłem „Ci, którym się udaje”. Wiem, że znalazłem się w numerze, bo pasowało do tematu. Ale ja, prowincjonalny poeta i publicysta, otwieram wydanie renomowanego periodyku?! Pochlebiam sobie, że w tym numerze znalazło się wiele znakomitych ówczesnie nazwisk, jak i dziś uznanych twórców: Kazimierz Brakoniecki, Piotr Cieleś, nieżyjący już Jan Krzysztof Adamkiewicz, Andrzej Kaliszewski, Jan Sochoń (obecnie kapłan katolicki), Jan Tulik, Tadeusz Wyrwa-Krzyżański, Zbigniew Fronczek, Stanisław Esden-Tempski, Aldona Borowicz...

Z Krzysztofem poznaliśmy się zapewne na imprezach leszinowskich w latach 70., gdy jeszcze byłem studentem. Znałem Gąsiorowskiego także, jak i całą Orientację Poetycką „Hybrydy”, z czasopisma „Orientacja”, z wielu tomików i publikacji. Ale zaprzyjaźnianie się z Gąsiorem nastąpiło później, gdy po studiach wyjechałem na północny wschód Polski. Tu parę słów celem przygotowania gruntu. Pracując w suwalskich „Krajobrazach”, w których odpowiadałem za kulturę, a samozwańczo także za literaturę, musiałem się oczywiście „wplątać” w organizację Oleckiego Czerwca

Poetyckiego. W nowym (od 1975 roku) województwie suwalskim była to najważniejsza impreza literacka. Zaproponowałem organizatorom Oleckiego Czerwca, że zaproszę na zajęcia seminaryjne Krzysztofa (później ściągnąłem też A. Waśkiewicza). I tak oto Gąsiorowski zjawił się w Olecku. Chyba przyjeżdżał tam niejednym raz. Mało tego, wówczas poznał dziewczynę, która była (z ramienia spółdzielni mieszkaniowej?) odpowiedzialna organizacyjnie za jakąś część Czerwca Poetyckiego. Dość szybko została jego kolejną żoną, zamieszkała z nim w Warszawie. Ale, z tego co wiem, nie ułożyło im się potem życie. Pamiętam ze spotkań oleckich czytanie wierszy przez Gąsiora i szczególny aplauz słuchaczy dla utworu „Moja stara maszyna do pisania” (tytuł podaję z pamięci). W każdym razie Krzysztof wówczas, w trakcie tych trzech, czterech dni, imponował młodszemu uczestnikowi zdarzenia erudycją, wiedzą i wyczuciem literackim. Z boku delikatnie atakował go tylko białostocki krytyk Waldemar Smaszcz.

Minęło kilka lat i w 1986 roku znalazłem się w Białymstoku. Przybywając do miasta właściwie za żoną, która zatrudniła się w Białostockim Teatrze Lalek, od razu postawiłem sobie ambitne zadanie, że doprowadzę do utworzenia w mieście nad Białą oddziału Związku Literatów Polskich. Dla mnie było to kuriozum, że w niemal 300-tysięcznym mieście, gdzie mieszkało kilkoro członków ZLP, nie istniał oddział Związku. W tym czasie np. w dużo mniejszej Zielonej Górze oddział Związku świętował już 25-lecie. Ostatecznie zamysł udał się, a wielką pomocą w tym służył mi właśnie Gąsiorowski. Rządził wtedy jako prezes oddziałem stołecznym ZLP, a Białystok był zawsze poddany wpływom warszawskim. Przyjechał zatem Gąsior do Białegostoku wraz ze Zbyszkim Irzykiem i wspólnie z kilkoma osobami z miejscowego środowiska przeprowadziliśmy naradę. – Zrobimy tak, w pierwszym założycie Klub Literacki ZLP, który będzie podlegał oddziałowi warszawskiemu. Gdy znajdzie się odpowiednia liczba pełnoprawnych członków ZLP, wtedy Zarząd Główny podejmie uchwałę o powołaniu samodzielnego oddziału – zaproponowali Gąsior i Irzyk. I tak zrobiliśmy. Dziś Białystok ma niemały, chyba 30-osobowy i około 30-letni własny oddział Związku.

Z Krzysztofem widywałem się i korespondowałem (e-mailowo) dość często, niemal do końca jego życia. Przesyłał swoje utwory, wypowiedzi, które drukowałem we wspomnianym samizdacie, dawał mi swoje tomiki nagrane na płycie, gdyż był jednym z tych poetów, którzy nie bali się nowych nośników.

Gąsiorowski odchodził z tego padołu w dramatyczny sposób. Z różnych relacji wiem, że z opieką nad nim nie było najlepiej – ale i nie najłatwiej, zwłaszcza dla najbliższej mu osoby, która formalnie nie była z nim w żaden sposób, poza emocjonalnym, związana.

cdn.



# Renata Diaków

## Życie

Wiesz, dostałam puzzle. Nie, nie na urodziny.  
Jestem  
zbyt dorosła. To podarunek od losu. Nie, nie  
dla zabicia  
czasu, ale po to, żeby móc dzielić ten czas  
z tobą.

Tak, widzę, nie ma żadnego obrazu na  
pudełku. Jak  
je ułożę? Nie wiem. Po prostu spróbuję  
dopasować  
do siebie jakies dwa, na początek, a potem  
dołączę  
pozostałe.

W instrukcji napisano: układać we dwoje.  
Pomożesz  
mi układać? Dziękuję. To zwiększa szansę na  
to, że  
układanie się powiedzie i będę mogła dzielić  
z tobą  
radość.

Co zrobię, gdy obraz będzie gotowy?  
Wrzucimy  
wszystkie puzzle do pudełka i zaczniemy  
układać  
od nowa. W instrukcji napisano: do  
wielokrotnego  
użytku.

Czy to nie będzie nudne? Układać kolejny raz  
te same puzzle? Nie, za każdym razem  
powstaje  
inny obraz. W instrukcji napisano: ten obraz  
to życie.

## Mój mężczyzna

Mój mężczyzna pije wódkę ze swoim kolegą.  
Pierwszy kieliszek  
wlewa się bez oporu, bez mrugnienia okiem,  
bez popitki. Z łatwością  
przenika do krwioobiegu powodując spięcia  
neuronów. A ja patrzę  
w niebo wyczekując pierwszych wyładowań.  
Pochmurnieję.

Mój mężczyzna pije wódkę ze swoim kolegą.  
Drugi kieliszek  
wodospadem spada na dno boleśnie  
zaciśniętego żołądka, miesza  
się z żółcią wywołując wrzenie treści bez  
formy. A ja zerkam  
za horyzont spodziewając się erupcji. Od  
gazów łzawią mi oczy.

Mój mężczyzna pije wódkę ze swoim kolegą.  
Trzeci kieliszek  
wstrząsa jego ciałem aż do krwawych  
pęknięć, przez które sączy  
się to, co jeszcze przed chwilą było życiem. A  
ja przyglądam się

ziemi pod stopami wyczuwając szczeliny.  
Umieram ze strachu.

Mój mężczyzna pije wódkę ze swoim kolegą.  
Kolejny kieliszek  
spada w brunatność rozwartej ziemi, spada aż  
do dna, do dna mój  
kolego! I wypija do dna za zdrowie swoje. A ja  
błagam o ocalenie  
licząc puste kieliszki i kości tych, z którymi  
już nie wypije, bo  
umarli z przepicia.

## Nowe rozdzanie

A kiedy zrozumiesz, że z barwnym  
korowodem widm przeszłości  
nie da się wygrać, mając na sobie jedynie  
czarne bokserki, stań przed  
lustrem i sprawdź czy nadal możesz spojrzeć  
sobie w oczy zanim

spojrzysz w moje, by kolejny raz, z miną  
skopanego psa, prosić  
o nowe rozdzanie. Nazwiesz mnie czule swoją  
damą pikową licząc  
na to, że nie zauważę uśmiechu Jokera,  
którego nie ukryje  
przed moim wyczulonym wzrokiem nawet  
siedmiodniowy zarost.

Jak zwykle, w ostatniej chwili, wyciągniesz z  
rękawa asa i przyprowadzisz  
mnie o łzy z powodu przegranej, na którą  
skazujesz mnie kolejny raz  
pustymi słowami: przepraszam, próbowałem  
ich ograć i ... Spróbuj  
ograć samego siebie.

## W stodole

Chciałeś mnie wyrwać na hotel. Tak się o tym  
mówi? Mnie  
nie można wyrwać, mnie trzeba kochać.  
Zapomniałeś? Jak  
można kochać w hotelowym pokoju,  
w którym ściany

przesiąknięte są samotnością i seksem  
udającym rozkosz, za które  
trzeba jeszcze zapłacić? Po takim  
doświadczeniu nie zostaje nic, nawet  
wspomnienie. Kochać można wśród  
drewnianych belek. One

potrafią wtórować uniesieniom jęklivymi  
westchnieniami, gdy  
oddechy przyspieszają z wysiłku. Czujesz?  
One współodczuwają,  
prężą się jak twoje mięśnie od dotyku moich  
palców. Zamiast

betonowych schodów ukrytych pod bordową  
wykładziną – sztucznym  
substytutem komfortu – dwanaście szczelbi  
po drabinie z drewna, które

zachowało w sobie pamięć o całym lesie.  
Zamiast

plastikowych obrazków na ścianach leniwe  
pająki, którym  
nie przeszkadza wywołane przez nas  
poruszenie. Czekają  
pewne swej zdobyczy. Ucz się od  
pająków – czekania. Zamiast  
sztywnych prześcieradeł twoja stara koszula  
zrośnięta z tobą  
jak skóra, przez to bliska memu ciału, gdy  
odurzona zapachem  
siana i namiętności opadam na zrobione z niej  
posłanie. Spójrz

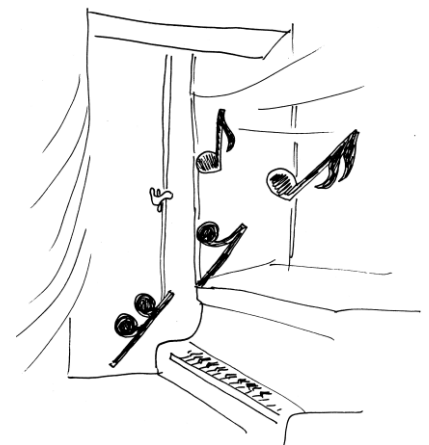
srebrzyste krople potu na twoim ciele – te  
same, gdy dźwigając te  
słomiane snopki, przesypanywałeś złote  
ziarno- teraz wsiąkają  
w moją skórę i mają zapach chleba  
zamkniętego jeszcze w zbożu  
w stodole.

## Piętno

Jeśli mądrość ma piękną twarz, brak nadwagi  
i grację musi  
godność zapinać pod szyję. Igła z nitką  
ważniejsze niż pióro.  
Ciągłe trzeba przyszywać zrywane lubieżnym  
wzrokiem  
guziki.

Jeśli mądrość jest wiotka i zgrabnie porusza  
się między  
słowami nie może być powściągliwa (papier  
lepiej znosi  
atramentowe szramy niż skóra) musi szeroko  
otwierać  
usta, by krzyknąć *łapy przy sobie*.

Jeśli mądrość ma gibkość łani i wilgotne  
spojrzenie musi  
z dumy budować fortecę, do której wiedzie  
zwodzony  
most. Trudniej jest rozkładać zwodzone  
mosty  
niż nogi.



Rys. Barbara Medajska

# Adam Bolesław Wierzbicki

## Moja kobieta

Moja kobieta nie chodzi do koleżanek na  
pogaduchy przeplatane kawą i  
ciastkami z biedronki woli w ostępach swego  
ogrodu prowadzić bezsłowny  
dialog z malwami, storczykami i  
słonecznikami. Moja kobieta nie przesiaduje

godzinami u fryzjera, czy kosmetyczki tracąc  
czas na jałowe, czcze dyskusje.  
Preferuje w zamian w zaciszu swego pokoju  
dysputy z Platonem i Heraklitem,  
Petrarką czy Owidiuszem. Moja kobieta nie  
ogląda w telewizji brazylijskich

tasiemców o niewolnicach w rytmie disco za  
to od czasu do czasu umawia się  
na randki z Pedro Almodovarem w ostatnim  
rzędzie studyjnego kina. Moja  
kobieta nie pije owocowych, smakowych piw,  
uwielbianych ostatnio przez płęć

piękną i pederastów. Tylko nieraz przywiezie  
mnie do domu swym samochodem,  
gdy z którymś z kolegów wpiję za dużo o  
jedną  
setkę wódki.

## Świt majowy

Czwarta nad ranem niczym w piosence  
Adama Ziemiannina.  
Trzeźwiejące myśli rozjaśniane papierosem  
wraz z porannym  
śpiewem ptaków galopują w twoją stronę.  
Wstaje nowy dzień

jak u Stachury, choć kwitną irysy, a nie  
tramwaje na przystankach.  
Dzisiaj mamy niedzielę. A przecież ona jest  
zawsze

symbolem zmartwychwstania.

## Przeznaczenie

Bóg postawił cię na mej drodze bym, o  
majowym brzasku mógł  
radować się świergotem ptaków, pomimo  
doganiającego mnie  
potężnego kaca. Bóg postawił cię na mej  
drodze byś mogła mnie

nauczyć rozpijać na trzy razy butelkę białego  
chilijskiego wina.  
Bóg postawił cię na mej drodze bym wreszcie  
mógł zaznać  
ukojenia, po zbyt długim długodystansowym  
biegu zasłuchany

w ciszę zagłuszaną jedynie oddechem  
twojego snu. Bóg postawił  
cię na mej drodze byś poskładała w całość  
fragmenty pokiereszowanej  
prze życie skorupy mojego jestestwa. Bóg  
postawił cię na mej drodze  
bym miał wreszcie kogo chronić przed całym  
złem tego świata. Zanim

się to jednak stało. ty musiałaś ochronić mnie  
przed  
samym sobą.

## Puzzle

Nasze relacje budujemy powoli. Prawie na  
piechotę.  
Stosujemy metodę prób i błędów. Jednak z  
każdym  
dnem, do kwadratu przyspieszają w lepszą  
stronę.

Dopasowujemy się do siebie jak klocki  
układane  
ręką przedszkolaka.. Odkrywamy w sobie  
słabe  
punkty i wrażliwe miejsca. Uzupełniamy  
wzajemnie

własne braki i dajemy to, co aktualnie jest  
nam niezbędne.  
Wyzwalamy się ze złych nawyków i przywar  
bazując  
na prawdzie i szczerości. Sukcesywnie  
wgłębiając się

w siebie jak puzzle. I po każdym spotkaniu  
obraz przez nas  
tworzony staje się pełniejszy.

## Zanurzeni w lato

Tego upalnego lata zanurzaliśmy się w siebie  
za pomocą wszystkich  
zmysłów. Słuchaliśmy swoich przyspieszony  
oddechów, które zagłuszały  
bicie serc i cisze poprzedzającą przynoszącą  
ulgę letnią burzą. Zachwycaliśmy

się naturalnością wolnych od ograniczników i  
pomalowanych słońcem  
naszych ciał. To sprawiło, że nasz wzrok mógł  
wreszcie raz na zawsze  
odstawić do kąta niepotrzebną nikomu  
wyobraźnię. Na swych ciałach

rozcieraliśmy dłońmi krople rozkosznej  
i kojącej choć ciepłej wilgoci.  
Słony smak potu na naszych językach  
uświadczał nam jak to być solą  
tej ziemi. Mimo ciągłego wymieniania się  
zapachami ty nie pachniałaś

mną ja nie pachniałem tobą. Pachnieliśmy po  
prostu sobą. (w liczbie  
podwójnej). Zanurzeni w siebie leżąc na  
starej, mało wygodnej i zbyt  
wąskiej mieszalnię zmysłów.

# Iwona Pinno

## Czas

zegar stanął w miejscu  
i już nie istnieje przestrzeń pokoju  
w którym rozmowa  
dawno się urwała  
twoje ślady na uliczkach  
zmył jesienny deszcz,  
lecz ja wciąż szukam ich  
w starych fotografiach  
próbuję pochwycić  
spojrzenie oczu  
i raz jeszcze  
uśmiech przywołać wspomnieniem

odeszłaś  
a jednak  
czasem powracasz w snach  
prawie tak realnych  
jak wczorajszy dzień

lekką skrzypią schody  
w nich na zawsze uwięzione  
twoje kroki prowadzą na górę  
gdzie tylko bliżej  
do gwiazd  
tam pójde  
gdy zawoła mnie przyjaciel – czas

\* \* \*

Isnią światłem cmentarze w listopadzie  
jakby nie było ciemności i śmierci  
jakby tylko ogród z kwiatów  
istniał na miejscu wiecznego  
spoczynku i świętych obcowanie  
w nieobecności świętych  
szukamy wspomnień pośród grobów słów  
co dawnym echem  
w uszach jeszcze  
brzmiały i tej miłości  
co łączy oba światy  
i myśli wspólnych  
które wiatr przeniósł  
w korony drzew  
lekkim dotknięciem pamięci  
odchodzimy  
niebiańsko pocieszeni  
zapalając kolejny znicz  
naszej ziemskiej tęsknoty



Jerzy Lengauer

# Dziennik Brakonieckiego

W kilku (niewielu) poprzednich książkach kronikarskich, wspomnieniowych czy pamiętnikarskich jeden z najważniejszych współczesnych poetów Warmii (i chyba także Mazur), nieoceniony olsztyński animator kultury i sztuki oraz inicjator wielu projektów, mających wpływ na rozpoznawalność Olsztyna na mapie kulturalnej Polski i poza nią, przedstawiał czytelnikom swoje miejsce pracy, tworzenia, ideały, potrzeby edukacyjne, swoje i miasta, tudzież największy zdaje się zamysł, mianowicie otwarcie regionu, z którego się wywodzi, na państwa sąsiednie i połączone z owym miejscem historycznie, czyli wielonarodową wspólnotę. Jednak nigdy **Kazimierz Brakoniecki** nie opowiadał o tym wszystkim tak subiektywnie, tak ksobnie, jednocześnie otwarcie i docieklawie jak w „Dzienniku olsztyńskim”. Książka została wydana na siedemdziesięciolecie urodzin autora i nie można oprzeć się wrażeniu, że stanowi – choć pisana trzydzieści lat wcześniej – podsumowanie, rozliczenie nie tyle z życiem i twórczością, ile z kulturalnym i literackim środowiskiem Olsztyna, prowincji, jak często Brakoniecki nazywa miasto.

Jest to autentyczny pamiętnik pisany z dnia na dzień w latach gwałtownych zmian, opublikowany bez późniejszych ingerencji treściowych. Stanowi świadectwo czasów wielkiego przełomu, jednocześnie zanurzone w codzienności. Autor łączy w nim drobne zdarzenia z wielką historią i poetyckim widzeniem zmieniającej się rzeczywistości, co stanowi dowód na szczerłość zapisków „Dziennika”.

Rzecz rozpoczyna się w najważniejszym dla Polski roku drugiej połowy dwudziestego wieku. W niecały miesiąc po wyborach do kontraktowego sejmu. I już na pierwszej stronie, w drugim akapicie autor przypomina, jaki stosunek do odchodzących, już wiemy, że na zawsze, prominentów komunistycznych, mieli ci, którzy tęsknili za zachodnią demokracją: „Częściowo demokratycznie wybrany parlament wybrał na prezydenta jednym zwycięskim głosem byłego wodza PRL – generała I sekretarza Wojciecha Jaruzelskiego, komunistycznego Pinocheta z grudnia 1981 roku. Na premiera desygnowano gen. MSW, osławionego Czesława Kiszczaka. Polska Zjednoczona Partia Robotnicza na nowego I sekretarza wybrała ośmieszzonego w sejmie tow. Mieczysława Rakowskiego, od lat marzącego o realnej władzy” [1]. Ta postawa Brakonieckiego nie zmienia się, nie ewoluje, nie skłania się ku rozumieniu „mniejszego zła”. Przynajmniej do początku marca roku 1993, kiedy zapiski się kończą. Nieraz spotkamy się tutaj z obarczaniem PRL winą, czasami niekoniernie wprost, za stagnację kulturalną i

literacką, brak możliwości rozwoju dla młodych poetów i prozaików, przedkładanie pozycji w partii nad rozwój artystyczny, dominację w sztuce propagandy socjalistycznej, robotniczo-chłopskiej, pełzającą „rewolucję kulturalną”, kaganie się przed komunistycznymi władzami, podszczypywanie środowiskowe, brak pracy dla ludzi kultury, którzy jeśli już byli zatrudnieni, to nędżnie opłacani, czego od zakończenia studiów polonistycznych na Uniwersytecie Warszawskim jest uważnym obserwatorem i... dowodem.



Mniej więcej pierwsze dwa lata zapisków Brakonieckiego to nie tylko obserwowanie zmian politycznych w Polsce i na świecie, ale duża doza lęku, próby przewidywania przyszłości. Widzimy autora, gdy ogląda wieczorne wiadomości, czyta codzienną prasę, rozmawia o wydarzeniach ze swoją żoną. Wszystko to znajduje komentarze w „Dzienniku”. Jednocześnie zachłystujemy się razem z pisarzem liberalizacją i demokratyzacją kraju, „Jesienią Narodów” państw Bloku Wschodniego, upadkiem muru berlińskiego oraz zjednoczeniem Niemiec i przerazamą wojną bałkańską, zbrojną interwencją Rosji Sowieckiej na Litwie, konfliktami na Bliskim Wschodzie. W tym czasie, powiązany w pewnym sensie ze stałą pracą w olsztyńskiej kulturze i zadomowieniem w kilkupokojowym mieszkaniu na czwartym piętrze bloku z wielkiej płyty na jednym z wielkich osiedli stolicy Warmii i Mazur, Brakoniecki spogląda w przeszłość i wiąże ją z terażniejszością i swoją rolą w tujejszym środowisku artystyczno-literackim. Wspomnienia przedolsztyńskie są nieco zdawkowe, choć co jakiś czas w książce do

nich wraca. Głównie narzeka na swojego rodzaju brak opieki ze strony państwa, a może i możliwości rozwoju, których to państwo nie daje. Owo narzekanie ni to współgra, ni to kłóci się z podkreślaniami, że nigdy nie zapisał się do jakichkolwiek związków, organizacji i stowarzyszeń reprezentujących socjalistyczny reżim: „Unikałem stowarzyszeń, nawet studenckich, bo wszystkie miały w swoich nazwach «socjalistyczne», ale na pół roku w 1979 znalazłem się w olsztyńskim Stowarzyszeniu «Pax», w którym odkryłem, że w najgorszej sytuacji są takie właśnie uległe i reglamentowane organizacje społeczne jak ta całkowicie uzależniona prawem od komunistycznej władzy oraz ideowo... od Kościoła katolickiego, który «Pax» traktował jako katolickich pacholków reżimu” [2]. Być może stąd wynika bardzo dająca się odczuć wrogość do literackich przedstawicieli i orędowników socjalizmu, których oczywiście znajduje w Olsztynie. Ale nie dość tego, musi z nimi współpracować, układać się, znosić ich towarzystwo. Czy to obrzydzenie z powodu kontaktów z nimi, alergią na nich, chęć otrząśnięcia się, obmycia, jakiejś rytualnej ablucji powoduje, że w „Dzienniku” nie ma żadnych oporów, żeby opisać konformistyczne postawy, pijackie spotkania poetów i pisarzy, mierność artystyczną i kulturalną, wymienić nazwiska, stanowiska, funkcje... Ciekawostką jest wspomnienie pisarza wyjątkowego dla pokolenia wyrosłego na literaturze podróżniczo-awanturkowo i książkach Karola Maya, które na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych szukało nowych przygód i przez wiele lat było zaspokajane historiami o muzealniku-detektywie. Chodzi rzecz jasna o Zbigniewa Nienackiego, z którym Brakoniecki miał styczność, lecz nie wspomina tego pochlebnie. Nie można wszakże odmówić autorowi obiektywizmu, który jest także dowodem na to, jak bardzo na sercu i duszy leżał mu już wtedy kulturalny i edukacyjny rozwój regionu. Mianowicie oprócz nagany, kręcenia nosem, wytykania Brakoniecki składa ukłony wielkości artystycznej, talentowi, oddaniu Warmii i Mazur. Gani postawy, nie oblewa jednak pomników czerwoną farbą. Ma odwagę mówić o ludziach niemających talentu, a windowanych przez władze na stanowiska, pozycje, dopieszczanych finansowo, nagradzanych. Mając w pamięci te swoiste krótkie notki, przeliczamy podawane co jakiś czas w tekście niedenominowane jeszcze kwoty wypłat autora i jego żony, ceny poszczególnych artykułów spożywczych, opłaty za mieszkanie już w wolnej Polsce. Niby Brakoniecki wiąże je z sytuacją polityczno-gospodarczą, kolejnymi rządami, reformą Balcerowicza, szalejącą inflacją, ale granica 1989 roku zostawia nas w poczuciu niesprawiedliwości, jakiegoś szaleń-



stwa, nieuczciwości po jednej i po drugiej stronie historycznej linii podziału kraju.

Gdy stabilizuje się nieco sytuacja w kraju, autor poświęca jej nieco mniej miejsca w „Dzienniku”. Niemniej interesuje go Lech Wałęsa, najpierw jako kandydat na prezydenta, potem już jako pełniący ten obowiązek. Coraz częściej skupia się na zapisywaniu spraw i problemów rodzinnych, tudzież na własnej drodze duchowej. Owe wątki będą w zasadzie już cały czas, do marca 1993 roku, gościć w książce bardzo obszernie i szczegółowo. Żona i dwaj synowie są bezpiecznikami dla Kazimierza Brakonieckiego, kiedy po wielu godzinach pracy w olsztyńskim Biurze Wystaw Artystycznych wraca do domu, czy raczej swojego małego pokoiku, w którym na biurku stoi już kolejna maszyna do pisania. Ów pokój pisarz otrzymuje od państwa i... żony, ponieważ to jej przysługuje dodatkowe pomieszczenie w mieszkaniu z racji wykonywanego zawodu. Przychodzą soboty, podczas których to on sprząta. Gdzieś w zapiskach, wcale nie obok informacji o porządkach, czytelnik znajduje, że Brakoniecki dzieli wraz z wieloma innymi literatami pewną neurastenię, która może mieć związek z sobotnimi obowiązkami. Chodzi o potrzebę ogarnięcia najbliższego otoczenia, w którym następuje proces tworzenia. Autor chyba nie wspomina o tym drugi raz. Być może rodzina jest mu w stanie zapewnić w tej, przecież wcale nie tak niezwykłej sprawie, komfort emocjonalny. Hanna Brakoniecka zdaje się być żoną i matką spełnioną, kochaną, docenianą. Ostatnie określenie jest tym bardziej właściwe, ponieważ poeta wielokrotnie zdaje sobie sprawę ze swojej uciążliwości, nie tylko wynikającej z wykonywanego zawodu, charakteru pracy, miłości do poezji, uczenia się języków obcych, zainteresowań, ale i odziedziczonych cech osobowych, depresyjnego charakteru, wrażliwości, deficytów, neurastenicznych wymagań w stosunku do otoczenia i środowiska. Czytelnik jest w stanie doskonale ocenić, na czym polegają owe skłonności i predyspozycje, gdy Kazimierz Brakoniecki opisuje swoje relacje z ojcem. Jednak gwoli utrzymania pewnej ciągłości historii rodziny nie można pozostawić bez słowa wielkiej wiedzy autora o przeszłości i pochodzeniu swoich krewnych. Są to niezwykle ciekawe „rozdziały”, które pojawiają się w tekście jakby przy okazji spotkań rodzinnych, odwiedzin, być może niezależnych rozmów Brakonieckiego z żoną. Autor dociera do skomplikowanej przeszłości rodziców i teściów. Opisuje ją dokładnie. Przewijają się nazwiska i nazwy miejscowości. Gdzieś w tym współbrzmii zainteresowanie poety wielonarodowością Warmii i Mazur, migracjami, wielokulturowością, historycznymi zmianami, odniesieniami do innych regionów Polski i samego regionu, który jawi się jako bardzo płynny, bez granic...

Swojej poezji autor poświęca mniej miejsca, niż można by tego oczekiwać. Pisze o problemach z wydawnictwami, drukiem, sprzedażą, księgarniami, czasopismami kulturalnymi i literackimi. Cieszy się niespodziankami: ukazaniem się kolejnych tomików, publikowaniem w prasie, nagrodami. Wielką

wagę przywiązuje do niemożności tworzenia, zwłaszcza, gdy te okresy są zbyt długie, wręcz się złości, zastanawia się nad powodami i skutkami, czasami rozpatruje to logicznie, innymi razem depresyjnie, emocjonalnie. Czytelnik wie, że Kazimierz Brakoniecki poradził sobie z tymi problemami. Pokazują to biografy, notki biograficzne, blurby na okładkach jego tomików poetyckich i książek prozatorskich, lata wydawania poszczególnych pozycji. Wiele za to zapisków odzwierciedla drogę duchową. Chyba wiąże się to z postacią ojca. Nieco dyktatorskiego, więcej autokratycznego, mającego problemy z alkoholem i własną emocjonalnością. Stąd niechęć do religijnej patriarchalności, rozwodzenie się nad stosunkiem Syn-Ojców w chrześcijaństwie, fascynacja twórczością i postawą żydówki, który odrzucił judaizm – Simone Weil. Wiele jest w „Dzienniku” filozoficznego rozprawiania. Brakoniecki próbuje zrozumieć świat, własne postawy. Dużo czyta oczywiście o religijności. Zamieszcza znaczące dla niego cytaty. Jakby chciał sięgać, przypominać sobie, ciągle podkreślać, otoczył się tezami, które nie odgradzą go od przaiśnej rzeczywistości, lecz pomogą przez nią przejść bez szwanku, z duszą i sercem jakby z boku. Wiele w tym emocjonalności i żarliwości, ale i naukowego podejścia. Pomaga nie tylko literatura. Jeździ, chodzi, wędruje, roweruje na rowerzycy. Tak, Brakoniecki lubi innowacje językowe, neologizmy. Znamy światologię i światowanie (chyba nie od „światować”? ). O rowerzycy pięknie sam autor opowiada, ale nie w książce. Trochę jest w tym czułości, choć nie tyle, co w przepięknie zmienionym imieniu żony „Ko-Hanka”. Wyprawy po regionie, najpierw samotne, potem z jednym z synów, to obszernie zapiski o architekturze, historii, trochę przyrodzie, krajobrazie. Kolejny dowód na serdeczny stosunek do rodzinnego miejsca, co przecież za chwilę zmaterializuje się niezwykle ważnym projektem, istniejącym ciągle, czyli Stowarzyszeniu „Borussia”! Podróże Brakonieckiego nie kończą się na regionie. Raczej zaczynają. Pracując w BWA jeździ po Polsce, zarabiając własną inicjatywą, przygotowując wystawy malarzy i rzeźbiarzy. Do opisów miejsc dołączane są wówczas charakterystyki artystów i niektórych ich dzieł. Nieco dalsze wyprawy to zagranica. Litwa, Berlin Zachodni, Francja i w końcu Kanada, gdzie mieszka jego brat. Siostry, mieszkającej w Australii, do 1993 nie odwiedził. Warto zwrócić uwagę, że przygoda z Francją, a raczej Bretanią, co zainicjowało działalność Centrum Polsko-Francuskiego Côtes d’Armor – Warmia i Mazury, miała swój prapoczątek w nauce języka francuskiego w tym małym pokoiku na czwartym piętrze socjalistycznego bloku z wielkiej płyty.

Kazimierz Brakoniecki przez wiele lat pisze dzienniki. Ponoć niektóre nie zostały zachowane. Pisany jest także odrębny dziennik rodzinny, w którym Ko-Hanka i synowie notują swoje refleksje, nastroje, emocje, reakcje na aktualne wydarzenia. Jeden z synów prowadzi odrębny pamiętnik. W tym czasie ewoluuje Olsztyn, środowisko literackie, kulturalne, artystyczne, zmieniają się zarobki i

warunki pracy. Powstają kolejne inicjatywy, które obecnie muszą się mocno przeorganizować, bo państwo obcina dofinansowanie. Nie wydawane jest już z tego powodu pismo „Borussia: Kultura. Historia. Literatura”. Poeta bierze udział w kolejnych inicjatywach, jak choćby „Masovia: Pismo poświęcone dziedzictwu kulturowemu Mazur”, które ponoć także ma trudności. „Dziennik olsztyński 1989-1993” jest świadectwem początków i zmian. Także zmian w stosunku do własnej kultury regionu Warmii i Mazur. Świadectwem miejsca poety i jego obowiązku do środowiska, w którym tworzy.

Kazimierza Brakonieckiego miastem rodzinnym jest Olsztyn, ale urodził się w Barczewie. W „Dzienniku” wspomina historię znajomości z Winfriedem Lipscherem, także tam urodzonym. Tłumaczem, uczestnikiem działań na rzecz porozumienia i współpracy polsko-niemieckiej, także inicjatyw Stowarzyszenia im. Arno Holza dla Porozumienia Polsko-Niemieckiego w Kętrzynie. „List od Winfrieda Lipschera z 17 X: «Drogi Panie, (...) Ogorownie się cieszę, że Pana poznałem. Dwóch »Barzczewianinów« z dwóch odrębnych światów, ale potrafiących się bardzo szybko dogadać. A to jest ważne. Liczą się wymiary ludzkiego serca, a nie obywatelstwo, narodowość lub ustrój»», [3].

**Jerzy Lengauer**

[1] Kazimierz Brakoniecki, „Dziennik olsztyński 1989-1993”, Convivo, 2022, s. 5.

[2] Tamże, s.17.

[3] Tamże, s. 41.



Rys. Barbara Medajska

Miroslaw Osowski

# O tych zapomnianych z Kazachstanu słowo

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem książkę wspomnieniowo-historyczną, pióra **Anatola Diaczyńskiego** „O tych zapomnianych powiedzcie choć słowo”, wydaną po polsku w 2022 roku, a wcześniej, w 2006 roku, w języku rosyjskim. Anatol Diaczyński jest pisarzem i literatem mieszkającym od 28 lat w Stalowej Woli, ale pochodzącym z Kazachstanu i tam urodzonym. Anatol jest Polakiem, synem zesłańców, którzy zostali wysiedleni z Ukrainy do Kazachstanu pod koniec lat 30-tych. Ofiarą tych przymusowych przesiedleń byli zresztą nie tylko Polacy, ale także inne narody: Niemcy, Ukraińcy a nawet Koreańczycy. Polacy „podpadli” Stalinowi za to, że nie chcieli dobrowolnie przystępować do kołchozów, które władze sowieckie uważały zgodnie z ideologią marksistowsko-leninowską za wyższy stopień gospodarki rolnej. Polacy czy Niemcy nie mieli na to ochoty, bo widzieli u swoich sąsiadów, na czym ta wyższość socjalistyczna wygląda. Na Ukrainie tam, gdzie wprowadzono kołchozy wcześniej, zapanował niesamowity głód, hołodomor, a w ciągu 2 lat zmarło tam 2-3 mln ludzi. Polacy czy inne narody, które nie przystąpiły dobrowolnie do kołchozów, choć też cierpieli w tym czasie niedostatek, to jednak udało im się w większości przeżyć. Dla nich to był jasny sygnał, że na własnym gospodarstwie nawet podczas nieurodzaju jest o wiele lepiej niż w kołchozie. Ale władza radziecka z takimi „uparciuchami” łatwo sobie poradziła. W ciągu kilku dni podstawowymi przesiedlonymi – ponad 10 tys. Polaków – w bydłowych wagonach wywozono do Kazachstanu i tam zmusiła ich do uprawiania stepowego ugoru. Do tego wcześniej musieli zbudować sobie ziemianki, prymitywne domki z niewypalanej cegły, suszonej na słońcu.

Najpierw jednak należy wyjaśnić, skąd się wzięli Polacy na Ukrainie? To była polska ludność, nie tylko zresztą, która po zawarciu pokoju ryskiego z Sowietami w 1921 roku znalazła się na wschodniej Ukrainie i na mocy tegoż traktatu została zaanektowana przez Sowietów. Terytorium zamieszkałe przez Polaków na obszarze sowieckiej Republiki Ukraińskiej miało nawet na początku status republiki autonomicznej. Często nazywano ją wówczas Marchlewszczyzną od nazwiska polskiego komunisty, który był zwolennikiem utworzenia Republiki Polskiej w ramach Związku sowieckiego i gdy zmarł, tak nazwano ten rejon, liczący około 50 tys. mieszkańców, dla uczczenia jego pamięci. Ta autonomia (1925-1935), jak potem się

okazało, była czczym frazesem. Utworzono ją po to, by Polacy stali się wzorem dla rodaków w Polsce, jak mają urzeczywistnić socjalistyczną ideologię i gospodarkę. Niestety, eksperyment Sowietom się nie udał, bo Polacy na Marchlewszczyźnie nie tylko nie poddali się kolektywizacji, ale byli też przywiązani do swej religii. Dlatego zostali uznani przez władzę radziecką jako krnąbrni i nieprzydatni. Stalin i jego towarzysze z Biura Politycznego postanowili wywieźć ich do Kazachstanu.

Anatol Diaczyński, potomek zesłańców, opisuje ich gehennę i warunki, w jakich przyszło im żyć w Kazachstanie. Byli traktowani nie tylko jako buntownicy, którzy nie chcieli przystąpić do kolektywizacji i nie przyjmowali narzucanej ideologii, ale jako wrogowie państwa sowieckiego. Za byle co, za nieostrożne słowo można było trafić na Sybir albo po prostu być skazanym na rozstrzelanie jak dziadek Anatola, Józef Diaczyński, który był zdunem i rolnikiem, właścicielem gospodarstwa na tejsze Ukrainie. Rodzina zresztą nigdy nie dowiedziała się prawdy o jego śmierci i miejscu pochówku. W późniejszych czasach, już po roku 1956 i po śmierci Stalina, w czasach, które autor nazywa chruszczewowskimi, rodziny na prośbę skierowaną do władz otrzymywały wiadomość o śmierci skazańca i jego rehabilitacji.

O podróży polskich rodzin w bydłowych wagonach do Kazachstanu opowiada Anatol Diaczyński w szczegółach dzięki relacjom swojej babci Ewy, która po zabraniu męża i skazaniu go przez miejscowe władze jako wroga ludu, już więcej go nie zobaczyła i musiała potem samotnie wychowywać kilkoro dzieci w wielkim niedostatku i biedzie oraz braku jakiegokolwiek pomocy ze strony sowieckiego państwa. Akt oskarżenia – jak wspomina autor – opierał się na donosie tylko jednej kobiety, żony jednego z zarządców kołchozu, która nie była zadowolona z odpowiedzi Józefa Diaczyńskiego, bo zabrakło w niej pochlebstwa i braku akceptacji dla nowego płaszcza, w którym paradowała na kołchoźnianej uliczce. To wystarczyło, żeby zostać oskarżonym i potem skazanym jako wróg państwa. W sowieckim sądzie nie było adwokatów, a akt oskarżenia, bywało, opierał się tylko na zeznaniu jednego świadka. Sąd składał się z przedstawicieli miejscowej władzy. W tzw. „trojce”, zasiadał też funkcjonariusz NKWD z tamtejszego rejonu. Taki sąd nie kierował się prawem, ale partyjnymi zaleceniami, bo chodziło o to, by ster-

roryzować społeczeństwo i zamknąć wszystkim usta. Zmusić do bania się nawet najmniejszego szczebla władzy i ślepego posłuszeństwa wydanym poleceniom.

Diaczyński opisuje w szczegółach warunki, w jakich mieszkali i żyli zesłańcy. Warto przypomnieć, że w Kazachstanie panuje klimat kontynentalny, którego cechują wysokie temperatury latem a niskie zimą. Pierwsze pobudowane przez zesłańców ziemianki nie posiadały żadnych pieców do ogrzewania, jedynie paleniska z gliny do gotowania skromnych posiłków. Nie było też opału poza bydłowym łajnem. W stepie, na który przybyli zesłańcy, nie było też drzew i lasów. Jedynie czym mogli się dogrzewać, były rosnące w stepie burzany, rośliny o suchych i twardych łodygach. Zimą w ziemiance nawet woda zamarzała. Na szczęście Diaczyński przywieźli z Ukrainy pierzynę, pod którą w zimne kazachskie noce spała cała rodzina.

Interesujące jest też, jak dochowała się wśród tamtejszych Polaków, mimo prześladowań, wiara katolicka. W Kazachstanie nie było kościołów ani tradycji katolickiej, a także duchownych, których uwięziono i zesłano na Sybir już wcześniej. Państwo sowieckie deklarowało się jako państwo ateistyczne. I zwalczało wszystkie religie bez różnicy. Wiara katolicka – jak opisuje autor – zachowała się tylko dzięki matkom i babciom, które mimo zakazów władz nadal chrzcili swoje dzieci i wnuki z wody, po kryjomu uczyły zasad wiary, modlitw, pieśni religijnych, a także obchodzenia świąt katolickich. Jakiś czas, już w czasach postalinowskich, za Chruszczowa i Breżniewa, w okresie pewnej odwilży, dojeżdżał do mieszkańców Zielonego Gaju, tak się nazywała wioska, w której żył autor i jego rodzina, jakiś duchowny z Kokczetawy, rejonowego miasteczka, na zakonspirowane w prywatnych domach nabożeństwa i msze, przy okazji chrzcząc i bierzmując, przygotowując do pierwszej komunii oraz nauczając katechizmu. Szybko jednak dowiedzieli się o tym miejscowe władze i księdza usunięto z miasta i skazano na Sybir, gdzie potem w obozie odsiadywał wieloletni wyrok. Polacy byli prześladowani przez Sowietów nie tylko za swoją wiarę, ale i pochodzenie. Władza dobrze pamiętała nie tylko kłeskę w bitwie warszawskiej w 1920 roku, ale także buntowniczą naturę Polaków, przekorę oraz poczucie własnej godności, którzy nie dali się skusić, będąc jeszcze na Ukrainie, na obie-

tnice zbudowania rajy na ziemi. Woleli pracować na swoim niż w kolektywie pod nadzorem władz. Bo widzieli i poznali na własnej skórze, jak wygląda sowiecka ideologia w praktyce. Do cierpienia zaś przyzwyczaili ich twarde życie we własnym gospodarstwie. Dlatego mimo wywieranej na nich presji i szykan nie poddali się. Konfrontacja z biedną, kapitalistyczną Polską, którą poznali i zapamiętali wcześniej po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku, w porównaniu z tym, co zaferowano im teraz w Związku Sowieckim, dawała jednoznaczny obraz nowej rzeczywistości. Przedtem, w carskiej Rosji, znosili niewolę narodową, a teraz niby w „lepszemu ustroju”, głoszącym sprawiedliwość społeczną, pozbawiono ich wszystkiego: nie tylko własnej kultury, języka, ale wiary i religii, własności, a nawet prawa do obrony i do normalnej ludzkiej egzystencji. Wolność dla Sowietów nic nie znaczyła. Człowiek miał być maszyną do wykonywania poleceń władz.

Diaczyński opisuje w swojej książce także przemiany, jakie się dokonywały w Związku Sowieckim po wojnie. Do czasu śmierci Stalina w sferze ustrojowej, społeczno-politycznej i gospodarczej panował terror i twardy reżim, i nikt nie był pewny własnego życia. Dopiero w okresie Chruszczowa, a potem Breżniewa system zelżał i się nieco zliberalizował, przestały działać wszechwładne „trojki”, choć nie oznacza to, że było ludziom lekko. Poprawiła się nieco organizacja pracy, technika uprawy, zaczęto uprawiać wzorem amerykańskim kukurydzę, która przynosiła większe plony. Poprawiły się warunki życiowe ludności i kołchoźników oraz zaopatrzenie. Pobudowano nowe szkoły i domy kultury oraz przedszkola i żłobki. Zezwolono kołchoźnikom na posiadanie własnych małych gospodarstw rolnych, głównie skierowanych na samo zaopatrzenie. Ale jak zawsze szwankowała szczególnie w kołchozach organizacja pracy i brak części zamiennych do maszyn rolniczych. Choć system polityczny zelżał i przestał być tak represyjny, i dokuczliwy, ale ideologicznie niewiele się zmienił. Nadal zwalczano religię, nie pozwalano na prywatną inicjatywę w sferze gospodarczej. Wszystko zmieniła dopiero wprowadzona przez Gorbaczowa pierestrojka i głośność w drugiej połowie lat 80. Ale ani władze, ani społeczeństwo, ani gospodarka nie były przygotowane na tak gwałtowne zmiany. Ludzie przyzwyczajeni do wykonywania rozkazów i poleceń z góry, nie potrafili się odnaleźć w nowej sytuacji. Bo nagle dotychczasowy porządek został zmieniony. Ale ludzie ciągle czekali, aż ktoś za nich podejmie decyzję, a najlepiej, jak rozkaz przyjdzie z góry. Tak działał system sowiecki przez dziesiątki lat. Znakomicie pokazuje to Diaczyński na konkretnych przykładach z własnego podwórka. Niekiedy te doświadczenie są komiczne, szczególnie gdy zaczyna brakować wódki i trzeba ją kupować pokątnie albo po prostu pędząc bimber. Prawie w każdym domu na wsi znajdowała się mała bimbrownia. Na skutek głośności nawet profesorowie

uczelnii, na której studiował Diaczyński, zaczęli tracić głowę, gdy czytają w prasie rzeczy, które zupełnie nie pasują do tego, co dotychczas głosili z katedr. Przyzwyczajeni do wygłaszania ideologicznych sloganów, powoływania się na klasyków marksizmu-leninizmu zdają się dalej czekać na nowe wytyczne. Na początku po wielkim entuzjazmie i zachłyśnięciu się wolnością, niedługo potem przyszło wielkie rozczarowanie: następuje chaos gospodarczy, a w sklepach zaczyna brakować podstawowych artykułów i żywności. Zaczyna się też grabież państwowego majątku. Niestety, i tutaj zaczyna się klęska Gorbaczowskiej pierestrojki.

W tym czasie Diaczyński już jako dziennikarz lokalnej prasy rosyjskojęzycznej w Kazachstanie na początku lat 90. angażuje się w organizowanie na tamtejszym terenie stowarzyszenia Polaków i stara się nawiązać kontakty z polską ambasadą, a później powstałym w Kazachstanie konsulem, o który cały czas zabiegał wraz z innymi miejscowymi działaczami polonijnymi. To się udało, ale wsparcie dla tutejszych Polaków ze strony dyplomatów i Wspólnoty Polskiej oraz naszych parlamentarzystów okazało się niewspółmierne do oczekiwań. A co mówili kazachstańskim Polakom i co im obiecywali i co z tego zrealizowali, Diaczyński opowiada w książce z ironicznym uśmiechem. Jeśli ktoś pomagał tamtejszym Polakom, to najczęściej indywidualni ludzie, którzy zapraszali ich do Polski, do swoich domów, przysyłałi książki do nauki języka polskiego, a nawet wielu przyjeżdżało uczyć za marną pensję kazachskiego nauczyciela i to w trudnych warunkach, bez podstawowych wygód, jakimi dysponowali w Polsce. W żadnym wypadku to podziękowanie za udzielone wsparcie nie dotyczy urzędników ambasady czy konsula i Wspólnoty Polskiej powołanej przez Sejm do niesienia pomocy i nawiązywania kontaktów. Jeśli Niemcy – wspomina z goryczą w książce Diaczyński – umożliwili prawie wszystkim swoim rodakom, i to z całymi rodzinami, na powrót do ojczyzny, zapewniając im mieszkania i pracę, to w Polsce były to indywidualne zaproszenia ze strony niektórych wójtów i burmistrzów, których nazwiska Diaczyński m.in. wymienia w swej książce. Na pytania: dlaczego nas na to nie stać, parlamentarzyści i dyplomaci oraz urzędnicy ministerialni grzecznie odpowiadali, bo jesteśmy jeszcze zbyt biednym krajem.

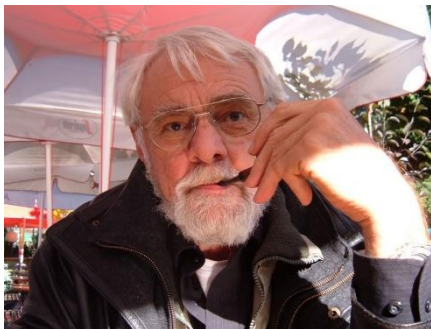
W końcu udało się Diaczyńskiemu wraz z rodziną zamieszkać w Polsce dzięki właśnie takim pojedynczym ludziom, samorządowcom. Kiedy się już zadowoził, po blisko 10 latach, postanowił odbyć podróż sentymentalną do Kazachstanu, zresztą z niemałymi kłopotami, które w książce opisuje w szczegółach, by odwiedzić pozostałych tam jeszcze członków rodziny, przyjaciół i znajomych oraz skonfrontować obecną rzeczywistość Kazachstanu z jej niedawną przeszłością. Akurat Polska wtedy wstępowała już do Unii Europejskiej. Było więc co porównywać. Niestety, kiedy my posuwaliśmy się politycznie i gospodarczo szybko do przodu, tam na

skutek rozpadu więzi kooperacyjnych, dezorganizacji, gospodarka, przeżywała ogromne kłopoty, a ludzie zamiast cieszyć się ze swej wolności, z postępu technicznego i zwiększającego się poziomu życia, jak było na przykład u nas i w krajach dawnego KDL-u (krajów demokracji ludowej), nadal borykali się z kłopotami aprowizacyjnymi, ze znalezieniem pracy, wzrastającym nacjonalizmem. Zaczęła się nowa migracja ludności, już nie wymuszona przez władze, jak za czasów sowieckich, ale w poszukiwaniu pracy i lepszych warunków bytowych. Już po pierestrojce umożliwiono ludziom na swobodne poruszanie się po terytorium Związku Sowieckiego. Udostępniono wszystkim paszporty. Potem, gdy powstała Wspólnota Niezależnych Narodów (WNP), wytyczono też formalne granice oraz zaprowadzono urzędy celne. Teraz, po kilkunastu latach, Anatol Diaczyński ogląda opuszczone domy, zrujnowane szkoły, przedszkola, domy kultury. Po Niemczech, którzy opuścili Kazachstan, wprowadzają się Kazachowie, ludzie o innej kulturze, którzy dom mają tylko do ozdoby, a żyją w zbudowanej obok jurcie. Stolica republiki zostaje przeniesiona do Astany, która jest oczkiem władz. Tam przeniesione zostają wszystkie instytucje i urzędy, a dochody z bogatego w ropę kraju są przeznaczane na wystrój nowej stolicy, na upiększanie budynków i ulic oraz budowę pomników. Niewiele z tego ma tamtejsza ludność. Sowiecką ideologię zamieniono w kazachski nacjonalizm. Nadal panuje wszechwładna korupcja. Przykładem tego może być celnik, który odwiedził podróżujących w pociągu Polaków i bez łapówki nie chciał przepuścić drobnego upominku, jaki wieźli do swych krewnych, żądając od nich na to dokumentacji, której nie posiadali. W końcu wystarczająco dać mu 10 dolarów. Warto dodać, że granicę Diaczyńscy przekraczają kilka razy i za każdym razem odwiedzają ich inni celnicy. Bo tory zbudowano jeszcze w czasach Związku Sowieckiego, kiedy granice istniały tylko formalnie. Ten smutny obraz towarzyszy Diaczyńskiemu do końca pobytu. Niestety. Jakkolwiek w Kazachstanie nie było wojny domowej, jak w sąsiednich krajach, to jednak trudno powiedzieć, że wolność przyniosła im szczęście i pokój – smutno wspomina autor.

Warto czytelnikom książki przypomnieć, że język polski był znany pisarzowi tylko z domu, z rodzinnych rozmów i opowiadań rodziców oraz babci Ewy. Poznał go dopiero lepiej, gdy przybył do Polski. I ten trud pisania w języku polskim warto też docenić. A językoznawcy – tak myślę – mogliby z powodzeniem zająć się szczególnym narzeczem polonii kazachskiej, w którym są wielkie wpływy języka rosyjskiego i ukraińskiego. Z punktu widzenia językowego jest to ciekawe zjawisko, warte zbadania i opisanie. Tylko istnieje jedna obawa, że Polaków, którzy się nim jeszcze posługują, będzie szybko ubywać.

**Mirosław Osowski**

## Zamyślenia



Fot. Andrzej Dębowski

## Wyrwane z klatki czasu sny...

*Umierają mi ludzie, dopóki  
ja ludziom nie umrę...*

Sławomir Mrożek

*I tak w Paryżu zmarł nagle Roman Lis, pisarz i poeta pochodzący z Przemysła, mój stary przyjaciel i przyjaciel wielu innych ludzi. Był częścią polskiej kultury na Rzeszowszczyźnie. Tamten i także ten rok przyniósł niepowetowane straty naszej szeroko pojmowanej kulturze jeśli policzymy tych, którzy nas opuścili i odeszli na drugą stronę błękitu.*

---

### Kazimierz Iwosse

---

Cóż, żyli w trudnych czasach razem z nami, dzień po dniu, oddychając tą zatrutą atmosferą, nie gubiąc po drodze rozróżnienia dobra od zła. Pierwszy z nas odważył się na opuszczenie kraju Roman i było to gdzieś pod koniec lata 1988 roku, a zatem w tym samym roku co ja, z tą różnicą, że on skorzystał z przepisów akceptujących zaproszenie, ja zaś parę miesięcy wcześniej, decydując się na ucieczkę. Gdybym wiedział, że za rok pęknie to „badziewie” z pewnością nie podjąłbym tej decyzji, zostawiając żonę z małym dzieckiem oraz starszkę-matkę. Roman pod dachami Paryża, ja pod dziurawym dachem obozu w Itzehoe dla „asylbawerber”. On znalazł opiekuńcze skrzydła przyjaciela Krzysia Fila osiadłego w Paryżu. Wspominał pewne zdarzenie z Romanem w tle... Otóż zabrał go kiedyś do oślawionego legendą kabaretu Moulin Rouge i idąc z nim gwarnym deptakiem, strumą uliczką pnącą się w górę, jego przyjaciel stanął jak wryty na widok oświetlonego budynku w rozblaskach świateł, zakrywając sobie oczy dłońmi. I ten gest powtórzył kilkakrotnie, jakby nie wierzył własnym oczom. A widok był wspaniały, gdyż perspektywę zamykała monumentalna bryła bazyliki z wbity w niebo białą kopułą. Pisał o tym w sierpniowym

numerze kwartalnika „Mój Przemysł” w roku 2021. Roman przebywając we Francji ponad 35 lat, ani razu nie przyjechał do Polski i swojego rodzinnego miasta.

Debiutował w 1966 roku wierszem „Modlitwa” w „Nowinach Rzeszowskich”. W następnych latach drukował opowiadania, a także we fragmentach swoją powieść „Krywe”, wydając w roku 1979 tom wierszy „Opis walki za wstęp”. Tomikiem tym narobił wiele hałasu. A potem zamilkł. Przez całe lata żyło nam się niełatwo, dzień po dniu oddychając tą zatrutą atmosferą tamtego czasu i zapewne gubiąc po drodze rozróżnienie dobra od zła.



Wybuchł sierpień 1980 roku i Roman – chyba pierwszy z nas – dokonał rozróżnienia tych dwóch skrajnych oczywistości. To on w moim Art-Clubie w Jarosławiu rzucił mi prosto w oczy:

– Nie rozumiesz Kazik, że zabrano nam słowa, które przez to utraciły kontur i ciężar, i moc osądzania! Bez ust i głosu rozpaczliwie usiłujemy wołać o pomoc...



Roman Lis stoi, z lewej Elis Kowalski artysta malarz z Paryża, z prawej Józef Pless – poeta oraz w środku Kazimierz Iwosse – pisarz. Zdjęcie pochodzi ze zbioru K. Iwosse z roku 1999.

Straciłem potem z nim kontakt wmieszawszy się w ten gorący tygiel „Solidarności”. Wydawałem dwutygodnik „Do Rzeczy”, ale kiedy prosiłem go o jakies materiały do pisma, nigdy ich nie wysłał. Może cały czas uważał, iż

należy nadal trzymać język za zębami? Pamiętam, że rozmawialiśmy o emigracji grubo wcześniej, zanim obaj zdecydowaliśmy się na nią i to prawie w jednym czasie, tj. w 1988 roku. Cóż to jest ta emigracja? Ktoś mógłby powiedzieć, że to czas, kiedy człowiek nie mieszka we własnym kraju, lecz za granicą. I oczywiście z tego powodu wszystko z nim jest tam inaczej. Czy Roman przewidział swoją emigrację jako z góry określoną czasowo? Może myślał wtedy, że w jego przypadku będzie ona trwała tyle, ile czasu w Polsce przetrwa komunizm i sowietyzacja kraju. Francja stała się jakby centrum uciekinierów i spiskowców nie tylko z naszego kraju, którzy pragnęli zmienić ten świat. Ale ten pobyt w tamtych latach na Zachodzie nie był łatwy. On znalazł przytulisko u przyjaciela, ja dziurawy dach obozu dla „asylbawerberów” w Itzehoe. Stu pięćdziesięciu ludzi na trzystu metrach kwadratowych.

Kryzys berliński wywołał nową falę uciekinierów i zrobiło się jeszcze ciasniej. Roman pracował przy zbiorach winogron oraz śliwkę, jako pomocnik kucharza w knajpie nad morzem. Było, minęło. W polityce naszego kraju coś się ruszyło, ale nie to, o co chodziło Polakom. Roman zerwał chyba wszystkie kontakty, pozostawiając sobie „kilku zaufanych”. Wiem, że mało wtedy pisał, ale widać miał kontakty z „Klubem Polskim” w Paryżu, bo zjawił się tam na naszym spotkaniu autorskim Józka Plessa i moim. Polonia w Paryżu zawsze była prężna i dzięki Romanowi poznaliśmy wielu wspaniałych ludzi. Potem, po paru latach przysłał mi swoje opasłe dzieło życia „Instytut Hegemonii Człowieka”, ponad 600 stron tekstu, wydaną przez Podkarpacki Instytut Książki i Marketingu. Stało się to po blisko dwudziestu latach milczenia. Dzieło swojego życia, swojego trudnego ja. Autobiografia jego intelektu, jak nazwie to nasz wspólny przyjaciel, pisarz i poeta Józef Kurylak z Krakowa. Nazwałem to dzieło zwrotnicą czasu zmieniającą sny wyrwane z klatki czasu. Wtedy, a było to w roku 1999 zrobiłem z nim wywiad, którego fragmenty śp. Roman zamieścił na łamach książki. Szkoda, że nie mógł umieścić w książce tego małego kamyczka wydobytego z potoku w rodzinnej Krzeczkowej, kiedy postanowił opuścić Polskę. Byłem tam kiedyś z nim, byłem też w Krasiczynie i w wielu innych miejscach jego rodzinnych stron usianych cerkiewkami, cmentarzami... i ukraińskimi dumkami.



Jedno z ostatnich aktualnych zdjęć Romana Lisa z Paryża.

## Kozetka (95)



## Świat jest mały. Na szczęście nie wszystkie komórki są szare

*Z iluż to szaleństw rodzą się arcydzieła,  
a proszę mi pokazać aby jedno,  
które rozum wystrugał?*

Józef Ignacy Kraszewski

*Moda jest moim paliwem, ale moim  
napędem quatro jest przysłowiowe  
przymrużenie oka. Mama nauczyła  
mnie, że kto tego nie rozumie, ten nie  
ma zasięgu. Skróty myślowe są u mnie  
permanentne. Pardon my language.  
Dziś nowomowa kawowa.*

### Joanna Friedrich

Mówi się, że żyjemy po raz drugi w swoich dzieciach. Pamiętam kalendarz z przedszkola, w naszych oczach przypominał obracającą się kolorową makramę w kształcie mandali. Czasem mylił mi się z wiszącym niedaleko kołem barw i wtedy każda pora roku zyskiwała swój kolor. Świat jest mały, ale nie ciasny, łatwo spotkać kogoś trzy razy z rzędu i umówić się na kawę. Taki ktoś powiedział mi ostatnio, że spotkania te mają swoją przyczynę, że ludzi na swojej drodze spotykamy w konkretnym celu, który najczęściej zna tylko wielki moderator.

Tymczasem staram się regularnie zapisywać te comiesięczne karty pamięci. Rytuały mnie wyciszają. Pęd życia wicherzy już i tak

zakręcony lok – a czasem: look. Czeka na mnie kąpiel. Wszystkie zakręcone mamy cenią połączenie kąpieli z nałożeniem balsamu. Rzadki to czas bo zabiera czas podwójnie. Już i tak jednocześnie myślimy, rozmawiamy, zamiatamy, prowadzimy dialog wewnętrzny i zapiski na potem. Wszystko to, prowadząc auto albo gotując zupę. Stąd żarty o ilości otwartych stronek u kobiet. Matki, żony i kochanki. Ekstrawertyczki i koleżanki. Introwertyczki i dziennikarki. Bohaterki i pisarki. Czułe narratorki i przeczulone krytyczki. Polityczki i księgarzki. Jesteśmy jednością, dlatego tak łatwo popełnić plagiat. Jest nas już osiem miliardów wariacji. Czasem zwariowanych bardziej, a czasem mniej: Wszak i tak zginiemy w zupie...

Czeka na mnie pranie. Każdy przedszkolak wie, że pranie czeka zawsze. Podobno ludzie się na tych, którzy rozdzielają pranie na kolory, zanim włożą je do pralki i tych, którzy piorą wszystko razem, jak leci. Jak dzieci.

Jestem zbyt ruchliwa na długie pisanie, a moje myśli – na zapisywanie, zresztą jesteśmy już społeczeństwem obrazkowym, żeby nie powiedzieć teledyskowym. Bing watching zdarza się rzadko. Zupełnie jak greckie wesela, które, jak wiadomo, trwają siedem dni. Częściej spotkać można katar i tabletki na wszystko.

Czeka na mnie leżak, zupełnie, jak w przedszkolu. Jednak stoi pusty, najczęściej. Na szczęście mam ich kilka, żeby szybciej do nich dojść. Zdaje się, że to ta oszczędność czasu gubi moje myśli. Czas, czas, czas...

Czeka na mnie heklowanie – ale o tym – za miesiąc.

Tymczasem pokaz mody 99-letniego domu mody Fendi, ready to wear, wiosna 2024, to mogły by nosić szare komórki w mądrej wersji „Było sobie życie.”



## Józef Zenon Budziński

\* \* \*

Chcę żyć  
Każdego ranka  
Bać się o dzień  
Iść po błocie  
Ze złamanym  
Sercem  
Zawieszać myśli  
Na nitkach  
W przestrzeni  
Chcę żyć  
By nie żałować  
Wczoraj  
Ściskając z bólu  
Kartkę papieru  
Chcę żyć  
Łykając choćby  
Ostatni  
Łyk powietrzna

\* \* \*

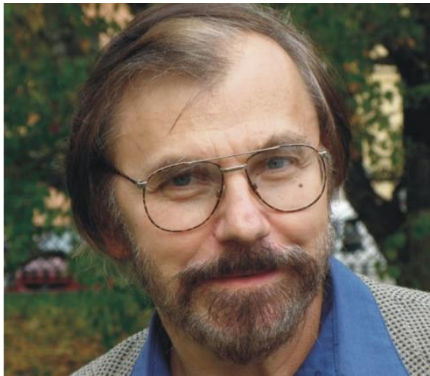
Samotność  
To głos prawdy  
To nie okradanie  
Innych z ich życia  
Samotność  
To rozkaz życia  
To pojednanie  
Się z drzewem  
Ukrzyżowanego  
Prawdziwa sfera życia  
Samotność  
To zwycięstwo  
Z potęgą kłamstwa  
To cios kłamstwu  
Samotność  
To zasada  
Nie ujęta  
W żadnej  
Definicji

## Janina Jurgowiak

\* \* \*

Mieszkamy sobie byle gdzie,  
nie w centrum – jak się nam zdawało.  
Sąsiadów nie widać, nie słyhać...  
Może ich nigdy nie było?  
Może się wyprowadzili co do jednego  
na drugi kraniec?  
A może popełnili zbiorowe samobójstwo,  
do jakiego i my zmierzamy?  
Udajemy, że nie, alez skąd!  
I systematycznie, po cichu, pomalutku  
skradamy się ku nicości.

## Listy do Pani A. (184)



Fot. Andrzej Dębkowski

## Jak zostałem dyktatorem

Droga Pani!

Pierwsze dni listopada, a właściwie cały miesiąc, nie muszą być smutne i ponure; nie muszą nieść myśli wyłącznie funeralnych, choć niejaka zaduma nad ulotnością wszystkiego i nas samych zawsze jest pożądana. Zapewne przyczyna mi Pani rację, że wszystkie zjawiska, które nas otaczają, także przemijanie, należą do bogatego wachlarza, który nazywamy istnieniem. Nie uważam zatem, że o sprawach „ostatecznych” należy mówić wyłącznie z (nomen omen) grobową miną. A drugiego listopada chowając się ze strachu przed duchami po kątach.

Już samo słowo „zaduszki” jest samo w sobie wesołe. Oczywiście modlimy się „za dusze”. Ale czy nie ma tu innych, zgoła nie ponurzych skojarzeń? Zaduszki, to może być osobliwe „święto żądów”. To brzmi niczym jakaś jurna zabawa ludowa. A ostatecznie dlaczego nie zadupki? Zawsze mi się to podobnie kojarzyło. Może mam od dziecka spaczoną wyobraźnię, ale też pewną wrażliwość na słowo, która mnie prowadzi nie zawsze w przyzwolite rejony.

Nie ma chyba człowieka, nawet najbardziej „wyzwolonego” supermena, który jednak nie bałby się śmierci. A żart z własnej śmiertelności oswaja tę wielką nieuchronną tajemnicę. I rzeczywiście, w przestarzałym symbolice było to przerażające. Sąd, ogień, diabły, ewentualnie jakiś dosyć enigmatyczny czyściec, a wszystko to na modłę baśniowo-ludową zantropomorfizowane, niemające nic wspólnego z metafizycznym pojęciem eschatologii. Tymczasem Wacław Oszajca w rozmowie z Damianem Jankowskim „Innego cudu nie będzie” (o tej książce, która leży stale na moim biurku, kilkakrotnie już wspominałem Pani) powiada:

„Gdy myślę o śmierci, zaczyna się we mnie rodzić pewnego rodzaju żal, że już czegoś nie zobaczę, że czegoś nie zdązę doświadczyć. Wtedy przychodzi opamiętanie i pytam sam siebie: a na jakiej podstawie sądzisz, że nie zobaczysz, na jakiej podstawie myślisz, że

między tobą a tymi, których kochasz, ma być zaraz przepaść, skoro w każdej cywilizacji jest coś takiego jak właśnie miłość, choć może różnie nazywana? Staram się ufać Bogu i nie przejmować się tym, co będzie potem. Wieczorem zasypiam spokojnie, prawie od razu.” To brzmi jak balsam na eschatologiczne lęki. Zresztą zawsze buntowałem się wobec tak zwanej „bojaźni bożej”. Dlaczego mam się bać, skoro Bóg nie jest moim wrogiem, sadystycznym sędzią skazującym nas na nie wiadomo jakie, nieodwracalne cierpienia. Śmierć nas przeraża, choć jest w niej zakodowany głęboki sens. Jaki? Tego nikt nie wie, ale raczej nie wiekiste cierpienie ani totalne unicestwienie. Ale czy znowu to ostatnie było by takie najgorsze?

Musimy na razie pozostawać w nieświadomości. Obserwować otaczający nas świat, w którym obok radości jest wiele dramatyizmu. Oto im dłużej się żyje, tym staje się wokół coraz bardziej pusto. Nie chcę tu Pani robić jakichś wypominków, tylko podzielić się swoim żalem. Za czym? Za życiem? Może za odchodzącą młodością?

Nie tak dawno zmarł Andrzej Zieniewicz. Poznaliśmy się w redakcji „Literatury”. Często rozmawialiśmy, chodziliśmy na wódeczkę do „końskiej” knajpki na Mokotowskiej. Na ścianach wisiały chomąta i jakieś części uprząży. Długo przesiadywaliśmy przy stoliku, sącząc czystą i rozmawiając właściwie o wszystkim, bo przecież nie tylko o literaturze... Andrzej nie był jeszcze profesorem, byliśmy młodzi, mieliśmy różne plany. Część się sprawdziła, część nie. I Andrzej umarł. A ja żyję i noszę w pamięci tamte razem spędzone chwile na trzeźwych, i nie tylko, rozmowach.

Wspominam też niedawno zmarłego Aleksandra Rozenfelda. Poznaliśmy się w redakcji „Światowida”. Pracował tam poeta Tadeusz Olszewski, z którym się przyjaźniłem. Też niestety już jest po tamtej stronie. Przychodziłem do Tadeusza dość często; odwiedzał go również i Aleksander. Był on bardzo wylewny i serdeczny. Na powitanie rzucał się nam na szyję, czego nie lubił Olszewski. Więc ja w swojej złośliwości przypominałem: Aleksandrze, uściskaj i ucałuj Tadzia, bo będzie mu przykro, co tamten skwapliwie czynił. Widząc niezadowolony Tadeusza pękałem w duchu ze śmiechu. Tak czy inaczej lubiliśmy Aleksandra, ceniliśmy jego wiersze. Potem kontakt się rozluźnił. Niedawno dowiedziałem się, że Aleksander Rozenfeld odszedł.

W końcu lipca w trakcie mojej podróży na Mazury zadzwonił do mnie Andrzej Dębkowski z hiobową wieścią, że zmarł Lam Quang My. To spadło na mnie jak grom... Wyglądał na zdrowego, przestrzegając różnych rytuałów, które jego zdaniem są konieczne, a także specyficznej diety. Kiedyś w Kańskiej Dolnej podczas Galicyjskiej Jesieni Literackiej organizowanej przez Andrzeja Grabowskiego, dzieliłem z nim pokój. Pewnego ranka ze zdziwieniem zobaczyłem, że Lam oparty o ścianę, stoi na głowie. Wyjaśnił mi z charakterystyczną wymową: „tak cieba, tak cieba”. Nie wiem, czy trzeba, nigdy tego nie robiłem i... żyję nadal. Nazywałem go „człowiekiem-muchą”, bo przemieszczał się z punktu do punktu w

mgnienu oka. Pojechaliśmy pewnego razu we trzech do Elbląga. Był z nami wtedy śp. Aleksander Nawrocki. Wysiedliśmy z samochodu, aby rozejrzeć się w topografię, Lam został w aucie. Przykazałem, aby nie wychodził, nie otwierał drzwi. Po krótkim czasie usłyszałem wycie alarmu. W samochodzie nikogo nie było. Pobiegłem, aby wyłączyć alarm (ten typ nie miał pilota). Wtedy zauważyłem na końcu ulicy Lama. Zanim jednak się zorientowałem, już mi znowu znikł z pola widzenia. Och, jak go wtedy opieprzyłem! Miał się przecież nie ruszać z miejsca. A on, oburzony, zaczął wołać: „dyktator! dyktator!” I tak zostałem dyktatorem. Bardzo Lama lubiliśmy, zawsze nam towarzyszył w wyjazdach, imprezach poetyckich, śpiewał po wietnamsku swoje wiersze, co brzmiało niezwykle oryginalnie i egzotycznie. Przeszło, minęło... A może nie minęło, skoro trwa w naszej pamięci, w jakichś niedostępnych nam teraz przestrzeniach?

O przyjaciółach tak serdecznych jak Staszek Nyczaj, kolegach, znajomych, którzy odeszli mógłbym Pani opowiadać jeszcze długo, ale to nie miejsce na niekończące się wypominki. Wracajmy do obecnych. „Oby żyli wiecznie” – jak mawiali starożytni Egipcjanie. Oto Andrzej Kosmowski przysłał mi swój tom „jeszcze jedna noc”. Poruszające, oryginalne wiersze. Ale i tu nie brak eschatologicznej zadumy. Jednak gdyby wyważyć „proporcje”, to więcej tutaj świata wraz z jego pięknem, choć czasem i grozą; poważnej obserwacji oraz interpretacji rzeczywistości. To głębokie, przemijające wiersze, ale zarazem niepozabawione nadziei.

Zachwylił mnie również tomik „kropka i kropka” Arkadiusza Frani. To poeta piszący wiersze z pełną świadomością, czym jest poezja na czym polega opór poetyckiego tworzywa. Jednocześnie poeta Frani jest bardzo spontaniczny, niesie duży ładunek czystego liryzmu. Poeta napisał: *Im mniej piszę wierszy, / tym bardziej są mi potrzebne. / Zbliżam się bezpiecznie do milczenia, / po którym wszystko zacznie się od końca.* Zawarł tu Arkadiusz Frania z jednej strony swoistą definicję poezji, z drugiej przesłanie wiecznej nadziei. Namawiam Panią, by uzupełniła swoją bibliotekę o te dwa tomiki.

Życie składa się także z różnych radości. W „Nowych Książkach” Andrzej Juchniewicz napisał bardzo trafną recenzję mojego „Epizodu podróznego”. Zwraca uwagę na jeden z kilku wątków przewijających się często w mojej poezji: *Doświadczeniem, które poeta opracowuje w różnych wariantach, jest starość (...) wzbierająca przyszłość objawi się w sposób niepozostawiający złudzeń co do nietrwałości ciała i trwałości pamięci o jego właścicielu: gdy ona nastanie, poeta stanie się prochem.*

A więc serdecznie Panią pozdrawiam, już bez doczesnej troski, syпки –

**Stefan Jurkowski**



## Rozmyślania



## Dekady przemian, bez zmian...

*Przeczytałem ostatnio artykuł, w którym autor stwierdził, że ostatnie lata to dla Polski najlepszy okres od ponad trzystu lat. W pewnym sensie trzeba się z tym zgodzić, ale tylko w pewnym sensie...*

**Andrzej Dębowski**

Przemiany rozpoczęte po 1989 roku, a trwające do obecnych lat nie przyniosły co prawda globalnej porażki, ale jest wątpliwe, czy historyczną szansę – daną nam ponad trzydzieści lat temu – wykorzystujemy na miarę możliwości i ambicji. Wielu Polaków nie czerpie satysfakcji z przemian, czego spektakularnym wyrazem jest ciągle przekonanie większości, że w komunizmie żyło im się lepiej.

Dlaczego tak jest? Nie zostały przezwyżnione zasadnicze dysproporcje odziedziczone po komunizmie – raczej nastąpiło ich zaostrenie. W okresie gospodarki socjalistycznej istniało ogromne, nadmierne zatrudnienie. Rynek w ostatnich latach pozbawił tych ludzi pracy, ale ogromnego bezrobocia nie można wyjaśnić po prostu dziwactwem przeszłości. Gdzie np. ochrona rodzimych producentów przed zachodnią penetracją importu.

Rozpowszechnione przekonanie o niesprawiedliwych nierównościach ma też swoje źródło w najnowszej historii politycznej i wynika z przeświadczenia o sojuszu elit komunistycznych i solidarnościowych, które stały się beneficjentami wiel-

kiej przemiany, dokonanej wszak ogromnym wysiłkiem większości społeczeństwa.

Znalazłem ciekawy materiał sprzed kilku lat, w którym na ten temat pisał kilka w „Rzeczpospolitej” Ryszard Bugaj w artykule pt. „Polska po przejściach”: *Być może najbardziej tego spektakularnym przykładem była operacja „uwłaszczenia” przeprowadzona przez środowisko „Gazety Wyborczej”. Redaktorzy uznali, że mogą podzielić między siebie ogromny majątek będący następstwem wielkiego sukcesu osiągniętego przez gazetę, która powstała jednak dzięki zwycięstwu całej antykomunistycznej opozycji. Co więcej, nic nie słycać, by beneficjenci założyli np. fundację działającą na rzecz tych, którzy do sukcesu dawnej opozycji, antykomunistycznej się przyczynili, a dziś są na dnie. Natomiast to „Gazeta Wyborcza” ostro reagowała na projekty ustawodawcze przewidujące skromne materialne rekompensaty dla „szeregowych kombatanów”. Podobny pokaz obłudy dali członkowie EPP domagając się podwyżki swoich bardzo wysokich apanaży i jednocześnie bezustannie nawołując do redukcji socjalnych wydatków państwa. Przykłady można zresztą mnożyć. Poczucie niesprawiedliwości i krzywdy coraz jednak rządnej jest źródłem moralnego potępienia także wśród przegranych. Coraz powszechniejsze zdaje mi się przeświadczenie, że taka jest „natura świata”, że trzeba się pogodzić z jego regułami i w ich ramach walczyć o swoje. Socjologdy dla schyłkowego okresu komunistycznego ukuli określenie „brudna wspólnota”, które wyrażało stan szczególnego moralnego relatywizmu. W nowych formach „brudna wspólnota” znowu się odradza. Storo obłudne, cyniczne i pazerne są elity (obydwie – stara i nowa), to dlatego zwykli ludzie mieliby zachowywać się według zaleceń dekalogu?*

*Tworząca się nowa „brudna wspólnota” wyjaśnia też dobrze powody dwoistego stosunku do etycznych zasad w życiu publicznym. Prawią wszyscy by chcieli, aby były one stosowane, ale prawie wszyscy uznają, że to postulat nierealny. To pewnie dlatego niemal nikomu nie przeszkadza, że Polską na wszystkich właściwie szczeblach rządzą ludzie, którzy w przeszłości wspierali system komunistyczny i byli jego beneficjentami. „Amnestia” obielea nawet najwyższych funkcjonariuszy.*

Polska od początku transformacji jest przeniknięta „kulturą nierówności” i brakuje nam wspólnego etycznego fundamentu. Między rozpowszechnionymi przekonaniem na temat tego, co słuszne, sprawiedliwe i uczciwe, a realnymi regułami życia publicznego, gospodarczego istnieje dramatyczna rozbieżność. U wielu jest ona źródłem wewnętrznego rozdarcia: surowych ocen otaczającego świata i praktycznego stosowania się do realnych reguł we własnym, indywidualnym postępowaniu. Nie może to pozostać bez negatywnego

wpływu na funkcjonowanie podstawowych instytucji życia społecznego: państwa, przedsiębiorstwa, władz lokalnych. Musi być źródłem deficytu społecznej aktywności. W szczególności państwo, postrzegane jest jako byt wyalienowany, eksploatujący obywateli. To także skutek tego, że państwo koncentruje się raczej na organizowaniu indywidualnego wyścigu między obywatelami i wspiera interesy partykularnych grup, niż organizuje zbiorowy wysiłek narodowej wspólnoty i jest organizatorem jej solidarnych zachowań.

System polityczny został zbudowany tak, by ograniczać wpływ wyborców i pozostawić klasie politycznej możliwie szeroką autonomię. Służy temu przede wszystkim zawilość struktur władzy utrudniająca ocenę zachowań aktorów życia politycznego.

Interesy wspólne klasy politycznej są coraz silniejsze, co znajduje spektakularny wyraz w bezustannie postępującej rozbudowie biurokracji państwowo-samorządowej i poszerzaniu materialnych przywilejów klasy politycznej. Ta ostatnia okoliczność ma ogromne znaczenie, bo lokuje ludzi polityki w grupie społecznej o wysokich dochodach, wytwarzając niską wspólnotę interesów.

Autorytet ludzi polityki jest więc bardzo niski, a przekonanie, że ich działania są podporządkowane jakiejś klarownej misji, właściwie nie istnieje. Potwierdzają to zupełnie dowolne wolty polityków i niedotrzymywanie jakichkolwiek zobowiązań wyborczych. Polityczna demokracja staje się – aż strach to powiedzieć – przede wszystkim instrumentem ochrony interesów grup uprzywilejowanych.

Przekształcenia ustrojowe nie uruchomiły w Polsce procesu kumulacji kapitału społecznego, bo w znacznej mierze zderzyły się z tradycją i wartościami cenionymi przez Polaków. Skutkiem jest skrajny brak zaufania pracowników do pracodawców i odwrotnie, nikłe zainteresowanie sprawami publicznymi i śladowa aktywność obywatelska. Niski poziom kapitału społecznego styka się w Polsce z tandetnym rynkiem i niskiej jakości państwem. Ale żeby to zmienić, trzeba temu poświęcić bardzo, bardzo dużo pracy.



Rys. Sławomir Łuczyński

## Ławeczka Józefa Barana (12)

(Przemysłnik z przełomu wieków)

Fragmenty wybrane przez autora z tomu  
dzienników „Stan miłosny przerywany”; PIW 2021



Fot. Roman Mazurkiewicz

Jest Mirek Gąssowski, jak zawsze z nieodłącznymi butelczkami wina w torbie na ramie, jest schorowany i słabutki prozaik Michał Moszkowicz, jest Romek, z którym po spotkaniu mam jechać do jego domku w Akersberga, jest paru innych znajomych sprzed piętnastu, dwudziestu lat. Spotkanie autorskie udane, z oklaskami, kilka wierszy Tomek czyta brawurowo. Sprzedały się książki, jestem zadowolony i z tego zadowolenia tracę na chwilę głowę, czyli zostawiam w konsulacie moją ciepłą czerwoną kurtkę. Wpadłem na to dopiero trzydzieści kilometrów za Sztokholm, gdy wysiadaliśmy z samochodu, i poczułem szwedzki wieczorny ziąb. Przed spaniem dyskusja z Romkiem z gromami, którymi się obrzucamy. Wkurza mnie, że od lat siedzi na tapczanie przed telewizorem albo w swojej sypialni przed komputerem i wynajduje dowody na to, że wszystkim winien kapitalizm, kapitał, a najlepszy był oczywiście socjalizm, od którego on uciekł na początku lat siedemdziesiątych właśnie do kapitalistycznego kraju, gdzie się dorobił i to na tyle, żeby mieć potem czas na myślenie, czytanie, leniuchowanie – i jak mówi – „przejrzanie na oczy”. Przejrzał na oczy, że najsprawiedliwiej było w PRL (z którego – powtarzam – on dał nogę, a w którym ja musiałem żyć cały czas i chyba wiem lepiej, jak było... ale nie, on twierdzi, że lepiej). – Romek – wybucham w końcu – kurwa mać!, prezydent Obama z Frau Merkel i Putinem do dupy nie uczynią cię szczęśliwym, jeśli ty sam nie będziesz tego chciał... Jeśli ty będziesz od rana do wieczora wgłębiał się przed telewizorem w fotel i narzekał, jaki świat jest okropny. Spaceruj, wyjeżdż gdzieś do ciepłych krajów, idź na dziewczyny, dobrze jedz, kup sobie jakiś modny ciuch, przestań narzekać i przerzucać winę za to, że masz depresję na ustrój, kapitalizm, terapię szokową (właśnie czyta „biblię

antyglobalistyczną” pod tym tytułem kanaadyjskiej żydówki Naomi Klein, która winą za wszystko obarcza kapitał i Żydów). Romek z lubością powtarza jej argument, że kapitaliści najpierw burzą siłą – przy pomocy wojska czy pośrednio, podburzając do tego opozycję, a później odbudowują (często te same firmy) Iran, Afganistan, kraje Europy Wschodniej. Jeśli nie siłowo przy pomocy armii, to wykorzystując katastrofy, tsunami, tajfuny, które wprowadzają tubylców w stan szoku i wtedy łatwiej Amerykanom narzucić – jak worek na rójkę pszczelę – swoje porządki i swój model uszczęśliwiania... – Romku – ripostuję – jeśli nawet jest w tym trochę racji, to co z tego? Żaden ustrój i system polityczny nie uszczęśliwi, jeśli się nie chce być szczęśliwym. Zajmuj się tym, na co masz wpływ, a nie tym, na co nie masz żadnego wpływu... Twój ulubiony filozof, Bocheński, to samo twierdzi...

Depresja Romka nasila się, podobnie jak nasila się i kosztuje jego pogląd na świat. W ogóle zauważam, że tu w Sztokholmie moi starzy znajomi twardnieją w swoich poglądach. Samotność tylko im w tym dopomaga. Każdy ma swoją wizję zbawienia i uszczęśliwiania świata, człowieka, Ludzkości i Polski. I każdy dałby się za nią porąbać. Gdy się sprzeciwiasz, budzi to gwałtowny sprzeciw.

### 18 października

Jeszcze Sztokholm.

Umówiłem się z Leszkiem Szkułatą. Czeka na stacji Uniwersitet, zapomniałem, jak wygląda, ale pozostało we mnie uczucie wielkiej sympatii, jaką mnie i moją poezję darzyli z żoną Anną przed laty. Często zapomina się, jak wygląda dana osoba ale pamięta się długo, czy w jej towarzystwie czuliśmy się dobrze, czy źle. Nad Szkułatami unosi się w moich wspomnieniach serdeczna aura. Leszek na emeryturze ma czas, ale Ania pracuje, jest wziętym architektem (architektką?), projektowała nawet fragment sztokholmskiego metra. Obydwoje są Polakami, którym powiodło się za granicą, oczywiście za cenę dużego wysiłku. Przyplłynęli do Szwecji na początku lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia. Sprzed lat pamiętam, że Leszek nosił patriarchalną brodę. Ma nadal. Po niej go rozpoznaję i... natychmiast zaczyna opowiadać, a opowiada barwnie. Przez parę godzin przewija się przed moimi oczami film z jego życia przetykany powoływaniem się na moje wiersze (spryciarz wie, że tak mnie można zachęcić do słuchania). Potem przerwa na lunch po włosku w jego mieszkaniu w drogiej dzielnicy, co obwieszcza mi z nutką chępliwości, choć przed chwilą utwierdzał mnie w przekonaniu, że w jego życiu pieniądze nie odgrywały ważnej roli. Pochodzi ze szlachciurów i to widać, i słychać... W kuchni czuje się jak jego własna żona, a nawet lepiej – przynajmniej tak twierdzi. Jego szlacheccy antenaci lubili sobie dogadzać, on też. Dogadza też mnie. Ukończył w Szwecji odpowiednie kursy i nauczał w szkole klasyki, historii, filozofii. Ma dużą wiedzę na temat historii Sztokholmu i nie tylko, potrafi się nią popisać, co czyni z wielkim zadowoleniem, a ja odgrywam rolę szwedzkich ucz-

niów, których niedawno stracił, idąc na emeryturę; siedzę, podjadam i słucham, od czasu do czasu zadają pytania. Uroczy gawędziarz z bogatą biografią, w którą wyposażył go los lub w którą on wyposażył los. Urodził się w lesie – jak mówi – u dziadka, który miał przed wojną wielki majątek ziemski na Litwie, potem gdzieś u podnóża Gór Świętokrzyskich. Zawodem dziadka było – jak żartobliwie dodaje Leszek – nicnierobienie. Ojciec również miał podobne aspiracje, ale nie wyszło mu, bo komuniści rozparcelowali ziemię i rozdali chłopom, więc został dyrektorem na Dolnym Śląsku. Mój rozmówca jako piętnastoletni chłopiec rozstał się z rodziną i wstąpił do zakonu szarych franciszkanów. Tam skończył gimnazjum i szkołę średnią, wstąpił do nowicjatu i przez pięć lat był de facto zakonikiem. Jednak ponieważ miał za dużo pomysłów innowacyjnych, podpadł zwierzchnikowi i jako dwudziestoletni młodzieniec zrobił sobie roczną przerwę, po której wystąpił z zakonu. Następnie pracował w Ursusie, skończył studia polonistyczne i klasyczne, by w końcu poczuć, że jest mu w tym „socjalistycznym, nie przewietrzanym mieszkaniu duszno”, więc postanowił dać dyla do wolnych krajów. Ukryty w luku okrętowym został przemycony do Holandii, następnie przerzucił się już sam przez Belgię do Francji. W Paryżu – jak mówi – miał wielką szansę zostania bogatym człowiekiem. Wystarczyło zaprzeć się siebie. Otóż wpadł w oko milionerce starszej o siedemnaście lat, ba, mieszkał nawet u niej w pałacu, ale gdy mu zaproponowała kontrakt małżeński, prysnął (pewnie mu się nie podobała, ostatecznie uroda nie jest kwestią ubóstwa czy bogactwa...). Po jakimś czasie dotarł do Szwecji, wcześniej poznawszy w Paryżu Anię, która pracowała w tym samym hotelu. Ściągnął ją do Sztokholmu, mają syna i córkę, zainwestowali w ich wykształcenie (każde z nich zna po pięć języków)...

Choć wystąpił z zakonu, pozostał człowiekiem o dość mocno ugruntowanych poglądach katolickich, konserwatywnych, antyislamskich. Wspólnie z Anią, z którą delektujemy się przyrządzonym przez gospodarza łososiem, podlewanym nalewkami i winem, wsiedli przez chwilę na politycznego konika, a wtedy dowiaduję się, że bardzo dobrze zrobiłem, głosując na Dudę, bo to ostatnia chwila, żeby ukrócić korupcyjne praktyki PO i rozprzedaż narodowego majątku...

Znów jesteśmy w Polsce, choć z ulgą stamtąd wyjechałem. Potem rozmawiamy z Anią już tylko o poezji, książkach. Rozmawia mi się z nią tym lepiej, że jest kobietą i nie występuje między nami żadna ukryta rywalizacja. Gdy spotykają się dwaj faceci zawsze w końcu zderzają się jak dwa jelenie rogi – kto lepszy, kto mocniejszy, nie mam na to siły... Odczuwałem to w trakcie dialogu, a właściwie Leszkowego monologu, choć byliśmy wobec siebie pełni rewerencji...

cdn.





## Poezja obrazów, dźwięków i kolorów

Poezja w działalności twórczej **Jana Tulika** jest jedną z form szeroko rozumianej literatury, gdyż autor zajmuje się również pisaniem prozy (powieści, opowiadań), monografii i słuchowisk radiowych. Opublikowany niedawno tom wierszy zawiera osobiste badania i refleksje na temat fenomenu światła, które leży u podstaw i zarania życia na Ziemi. Przypomina biblijną wersję stworzenia, poczawszy od szóstego dnia, w którym pojawiła się cały pejzaż istnień istot żywych, ale i form je poprzedzających w Kosmosie. Stwórcę nazywa „dyrygentem wszechrzeczy”, który je wyłonił z niebytu na początku wszechświata i dalej ich bytowaniem steruje. Również gwiazdy budzą jego fascynację, gdyż to one łączą dni z nocami i niebo z jego zwierciadlanymi odbiciami na ziemi, np. w jeziorach, morzach, oceanach.

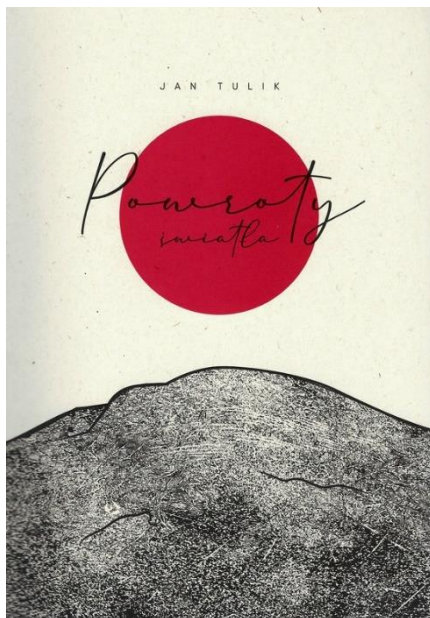
Poecie wydaje się, że ta nasza lustrzana rzeczywistość jakby odwraca prawa grawitacji, a nasz świat wyobrażony zaczyna lewitować nad ziemią, łamiąc zasady prawa grawitacji. Nasuwa się więc pytanie typowo ludzkie: ile waży sumienie? W takim świecie poeta próbuje przypomnieć tragedię z 8 XII 1980 roku, kiedy to Johna Lenona zabił fan Sex Pistols, co powoduje, że dzisiaj po Polsce rozlewa się ta sama nienawiść, czemu towarzyszy „lustro strachu” tamtego czasu, w którym przeglądają się nawet nasze dzieci. Nasza cywilizacja zaczyna przypominać historię sznurka, jego dobre i złe strony, kiedy to służy do krępowania ludzkich ust. Również dzisiejsi zbrodniarze stają się coraz bardziej bezkarni i beznamiętnie przyglądają się własnym czynom. Padające płatki śniegu przywodzą w wyobraźni „płatkorzeźby doskonałe”, ale dzisiaj nie są one twarde, ale raczej ulotne i giną bez śladu. Kult świętych madonn ulega systematycznej rotacji i trudno oddzielić wyobrażenie Matki Boskiej od Magdaleny-grzesznicy, od św. Cecylii, czy św. Faustyny. Również sam Chrystus ulega w swej istocie spowszechnieniu i na nowo należałoby oddzielić łądy od mórz, kiedy stanie się światło. Poeta z troskliwością powraca do lat dzieciństwa, by ożywić tamte wspomnienia i cieszyć się nimi.

Tulik próbuje zagłębiać do jądra Ziemi (Nife), by zgłębić tajemnice mechanizmów rządzących naszym wszechświatem. Podgląda także techniki malarskie Chełmońskiego i Mehoffera, by dojść do wniosku, iż również pojęcie antyku ulega obecnie deformacji. Wskazuje, że wszystkie teksty biblijne i ich twórcy oraz głosiciele mają tę samą strukturę mentalną w wymiarze religijnym i przyciągają równie silnie ludzi. Odkrywa ową nagość kobiety, która jest źródłem wiary, ale i miłość mężczyzny, nawet w porzuconych kościołach. Za takimi wyobrażeniami o naszym miejscu w świecie stoi „huk boskiego tchnie-

nia”. Poeta porównuje także szum stada gawronów lecących nad miastem z szybowcem, a niebo z doliną zarosłą kwiatami, nad którą szybuje cały świat możliwych wyobrażeń o pięknie. Próbuje zdekodować przypowieść o miłości, którą głosił Paweł/Szaweł, a która uchyla rąbka tajemnicy „boskiego raj” i tkwiącej w nim również samotności. Ukazuje mechanizm odkrycia w cieniu Kościoła Mariackiego, że z drzewa tworzy się również „pułdo fortepianu”, a mróz jest najlepszym twórcą makatek. Bada drogi rozwoju i transformacji „Pana Ratio”, wpływu ptaków na niebiański wygląd aniołów, czy wpływu deszczu na oddechy lasu. Na zakończenie dziękuje Stwórcy za tę swoją niesamowitą wrażliwość i umiejętność wielowymiarowego obrazowania świata w formach konkurujących ze sobą rzeczywistości.

Choć czyni się to ciężko, to jednak warto czytać i podczytywać ten tomik rzeszowskiego poety.

prof. Ignacy S. Fiut



Jan Tulik, *Powroty światła*. Redakcja: Jan Wolski. Idea i opracowanie graficzne: Grzegorz Wolański, Jan Wolski. Wydawca: Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza”, Rzeszów 2022, s. 68.



## Manuskrypt Piotra Prokopiaka

Nieczęsto się zdarza, by książka pisarza ukazała się najpierw w przekładzie na język obcy, a dopiero potem w wersji oryginalnej. Tak jest w przypadku kompletnego zbioru opowiadań **Piotra Prokopiaka** „Zielony manu-

skrypt”. Ten fakt sprawia, że zainteresowanie czytelnika staje się jeszcze głębsze i ostrzejsze. Językiem pierwszego wydania jest ukraiński. Na pozór nie mając nic wspólnego z Ukrainą (ani pochodzenia, ani miejsca zamieszkania), myśli i uczucia autora utknęły w naszej ojczyźnie za sprawą Drohobycza i Brunona Schulza, którego twórczość bada od wielu lat.

Piotr Prokopiak należy do średniego pokolenia polskich pisarzy. To generacja, której dzieciństwo upłynęło w warunkach „liberalnego socjalizmu” PRL, jeśli tak można określić system panujący w Polsce do upadku Związku Radzieckiego. Charakteryzował się wieloma prawami i swobodami, takimi jak hegemoniczny wpływ Kościoła na różne sfery życia, przyzwolenie na posiadanie prywatnej własności i małych firm. Dlatego trudne przejście do bezwzględniego systemu kapitalistycznego było postrzegane przez pewną część pokolenia lat 60. i 70. jako kataklizm, który doprowadził do wielu osobistych załamań i tragedii oraz trudnego poszukiwania swojego miejsca w nowej, najczęściej wrogiej rzeczywistości. To zagadnienie jest również szeroko reprezentowane we współczesnej literaturze ukraińskiej, zwłaszcza w latach 90. i na początku XXI wieku.

Owe egzystencjalne tragedie stosunkowo młodego pokolenia znajdują swój odzwierciedlenie w prozie Piotra Prokopiaka, autora trzech powieści, zbiorów opowiadań i wierszy. Gros opowiadań ma charakter nowelistyczny, treść filozoficzną i psychologiczną. Smutek i pesymizm przeplatają się z ironią i nostalgią, mistycyzm z realizmem. W kanwie narracyjnej poszukiwanie samego siebie odbywa się zawsze w ścisłym związku z żywiołami lub przyrodą (las, jezioro), która oczywiście istnieje według własnych praw będących zarazem odbiciem wewnętrznego świata Człowieka. Dla potwierdzenia głównego nastroju swojej narracji autor posługuje się mottem – cytatem z opowiadania Brunona Schulza „Jesień”: „Nie mogę zabrać ze sobą moich piętnastu lat – pozostaną tu na zawsze...”.

W treści fabularnej opowiadania Piotra Prokopiaka można podzielić na historie o podłożu wspomnieniowym, realistyczno-mistycznym i egzystencjalno-medytacyjnym. Utwory dotyczące dzieciństwa są napisane ze szczególnym ciepłem. W przeważającej części snute są w pierwszej osobie, co dostarcza więcej środków językowych dla ujawnienia zarówno fabuły, jak i myśli autora. Na przykład w opowiadaniu o nieco dziwnym tytule „1978” świat jawi się czytelnikowi oczami pięcioletniego dziecka, które wraz z ojcem odbywa nocną podróż pociągiem ciągniętym przez lokomotywę parową, która jest „straszna” w swoim groźnym majestacie. Mały chłopiec podróżuje do odległego i tajemniczego świata, aby przeczytać przynajmniej pierwsze strony Wielkiej Księgi Podlasia. Tam, na podwórku i w domu babci Józefy, odkrywa wiele nieznanych, nigdy niewidzianych rzeczy, podobnie jak każdy z nas, kto w dzieciństwie miał szczęście szukać skarbów na strychu rodzinnego domu.

Jednak najciekawsze wspomnienia autora związane są z jego rodzinnym miastem i ulicą, którą umownie nazywa Koszałkową.

(Dokończenie na stronie 18)

# Manuskrypt Piotra Prokopiaka

(Dokończenie ze strony 17)

Tak jest w „Nocy komety”, gdzie ciekawski chłopiec z wielkim smutkiem przeżywa zniknięcie biblioteki, do której często biegał, by wypożyczać „dorosłe lektury”, zwłaszcza powieści historyczne o czasach pierwszych władców polskich.

Z kolei w „Przymierzu” mały bohater dzielnie stawia czoła burzliwym żywiołom, a nawet, jak mu się wydaje, zawiera porozumienie z wszechmocnym niebem, by powstrzymać potężną ulewę. „Wagary” to historia nastolatka i jego pierwszym niespodziewanym spotkaniu z dziewczyną. Opowieści o przyjaciółach z dzieciństwa – kolegach z podwórkowej drużyny piłkarskiej („CWKS” i „Optymista”) są przesyczone melancholią. Wielu z nich nie było w stanie przetrwać przemian społecznych podczas przechodzenia do tzw. systemu kapitalistycznego. Tekst o znamienym tytule „Stracone pokolenie” pokazuje, co odczuwał młody człowiek w obliczu twardych realiów życia w rodzącym się imperium wyzysku. Nie mniej ciekawe są przekazy wspomnieniowe „Ostatnia tajemnica ojca” i „Ojczyzna”, gdzie autor nazywa matkę ukochaną, powoli zanikającą ojczyzną.

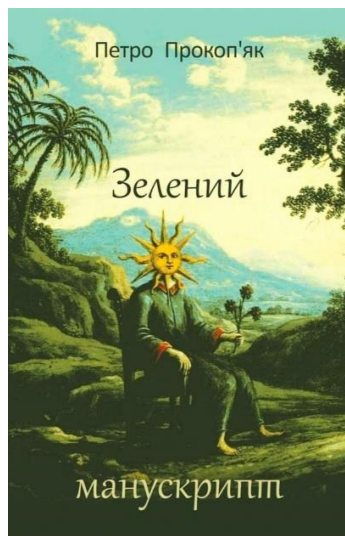
Mistyczne opowiadania pełne są osobliwych stworzeń i kuriozalnych wydarzeń, które rozgrywają się w bardzo realnej scenarii. Bohatera na strych opuszczonego domu („Dom”) wabi płacz małej dziewczynki, która nagle przeistacza się w „drodze inwolucji” i znika pomiędzy splekanymi deskami. Mężczyzna o duszy nastolatka („Cmentarny chłopiec”) mieszka w kaplicy na miejskim cmentarzu, zakochuje się nawet w wizerunku dziewczyny widniejącym na jednym z grobów, ale pewnego dnia z wszystkiego, co posiadał, zostaje mu tylko klucz... Opowiadanie „Sen” przypomina średniowieczną opowieść o inkwizycji, gdzie bohater poprzez wymyślne tortury zmuszony jest do wyrzeczenia się swoich przekonań. Opowiadania „Drabina”, „Klucz”, „Mucha” i „Piasek” cechuje niespodziewany rozwój fabuły.

Pewnego dnia przerażająca samotność przeszywa człowieka („Adaptowany liść – egzegza (w) chwili”) i nie pozwala mu iść w przeszłość. Świat ludzki tonie w wyobraźni i świadomości, tworząc w zamian surrealne obrazy wewnętrznej faktyczności. Istnieje tylko fantastyczny nocny las wypełniony niepokojącymi biontami, które żywią się materią, las, do którego emigruje zagubiona dusza, zamknięta w sobie, by „zrozumieć poezję sosny, filozofię dębu, efemeryczność lipy, odczytać sens papiirusowych liści topoli”. Jest to rodzaj poszukiwania spokoju – równowagi w mowie drzew. Zastygając w miejscu, człowiek wędruje przez złożone światy, mając nadzieję, że poprzez doznania i wspomnienia odnajdzie ojczyznę ojczyzn. Wchodząc głębiej, jakby w ciemną toń jeziora, w żywą materię opowieści, można odczuć niepokojące poruszenie związane z

uświadomieniem sobie, że wszystko to istnieje jedynie w ostępach jaźni.

„Autystyczny las”, do którego autor przywiązuje szczególną wagę, oraz „Wyznanie” – utrzymane w malowniczych barwach opowiadania mają lekki odcień sarkazmu wobec społeczeństwa i obyczajów społecznych. Autor imponuje bystrą obserwacją rzeczy pozornie banalnych.

Wśród ogólnego egzystencjalizmu wyróżniają się dwa opowiadania oparte na prawdziwych wydarzeniach: „Tratwa” traktuje o bezsensownej śmierci kilku nastolatków, którzy wybrali się na wycieczkę po rzecze na własnoręcznie skleconej tratwie, natomiast „Miś” to przygnębiająca relacja o degradacji osobowości uzależnionej od alkoholu.



Być może najlepiej talent literacki Piotra Prokopiaka ujawnia się w jego tekstach medytacyjnych („Dystymia”, „Powrót”, „Tamtą jesiń”, „Odchodzenie w Xięgę”), w których narrator poprzez uważną kontemplację praw lasu rozbija na atomy świat wewnętrzny – uczucia i przeżycia związane z tęsknotą za czymś, co nigdy się nie spełni, bo nie mogło się spełnić a priori w racjonalnym świecie ludzkim.

Podsumowując, należy stwierdzić, że opowiadania Piotra Prokopiaka są intelektualną ucztą. Stworzone niezwykle bogatymi środkami językowymi, wymagają odpowiedniego poziomu wrażliwości dla zrozumienia i głębokiej percepcji. W „Autystycznym lesie” autor powiada: „Bo duszę się pośród nas, uważny, ale i powierzchowny czytelniku! Duszę się powoli. Jakbym tkwił w komorze gazowej...” i to jest głos subtelnej duszy wobec powszechnej nieczułości, niewypowiedzianego bólu wśród ogólnej bezduszości i niewrażliwości na cudze cierpienie, głos Człowieka na bezludnej pustyni skomercjalizowanych, okrutnych praw społecznych. Jednak na końcu każdego tunelu widzimy światło, a to światło jest zawsze obecne w każdej Księdze Życia, na kartach manuskryptu tak wiecznego, jak ten świat.

**Swiłana Bresławska**

Przekład recenzji pierwotnie opublikowanej na ukraińskim portalu książkowym „Буквоїд”.

# Zanurzyć się „W przestwór”

Stąpając po ziemi potrzebujemy czasem znaleźć swoją własną przestrzeń i siłę, by wznieść się ponad to, co przyziemne, bolesne, co ogranicza naszego ducha. Takie dążenia mamy niejako „wdrukowane” w naturę i spełnienia szukamy czy to w realizacji swoich pasji, w przeżyciu religijnym, artystycznym czy w medytacji. Ludzie pióra odnajdują taką przestrzeń w twórczości i próbują otworzyć ją dla swoich czytelników.

W swoje przestworza w najnowszym tomie „W przestwór” zaprasza nas **Kazimierz Burnat**. Koneserów słowa powinna urzec oszczędna, lecz wyjątkowa metaforyka i unikalny sposób ujmowania tematów. Poeta doskonale czuje swoją misję, wie, że z książek, z zapisanych słów można zbudować zapórę przed całym złem tego świata. Wyraził to w wierszu „Odwrót” i choć czasem pisanie nie przychodzi łatwo, to warto próbować ciągle na nowo wyrazić siebie i świat / najlepiej jak to możliwe. W wierszu „Jaskółcze świtanie” prosi, by każdy dzień był twórczy. W przywołanym już utworze „Odwrót” wskazuje, że nawet sny mogą nieść słowa, które warto przekazać dalej. W snach powraca pamięć rodziców („Sen”, „Dylemat”), wspomnienia dziecka („\*\*\*Dniami i nocami”), sen jest *bezludną oazą / bezpieczną dla miłości* („\*\*\*Suche płuca”). Ale to tylko jedna z przestrzeni, w której zanurza nas poeta. Nawiązałam do wątku pamięci. Tylko tu mogą przetrwać zmarli, miejsca, które dziś wyglądają już zupełnie inaczej („Dzisiejsza wieś”), tradycje („Anioł Pański”), bohaterowie przeszłości („\*\*\*Ilu naprawdę”) i duchy niewinnych ofiar („Ostrze wyrzutu”). Ranga pamięci została świetnie podkreślona w słowach:

*...jego czas waszym  
odmierzany pamięcią  
jeśli jej zabraknie  
wieczność ustanie...*

(„\*\*\*Zwir z nanosem potoków”)

Wydaje się, że Kazimierz Burnat niosąc bagaż doświadczeń szczególnie mocno rozumie siłę przemijalności. Choroba stawia nas czasem na krawędzi pomiędzy światami i człowiek, chcąc nie chcąc, zadaje sobie pytania egzystencjalne. Czym jest odejście? Ile czasu zostało każdemu z nas? Rok? Dwa? W końcu i tak *nurtem roztopów odpłyniesz* („Niepodobieństwo”). I co potem? Niektórzy w swoim zarozumiałstwie wierzą w urojoną wielkość z *blachami na wstęgach / za płodną nieprawdą* („Doceniony”), która ma im zapewnić nieśmiertelność, poeta jednak doskonale zdaje sobie sprawę, że wszystko zamknie się znakiem krzyża nad mogiłą. Warto przejść się pomiędzy grobami i zadać sobie pytanie, co tak naprawdę jest ważne („Niebyt”). W wierszu „Samotny poczęstunek” autor słusznie zauważa:

*Dobro przepustką  
do pełni życia  
[...]  
niewdzięczność  
uwalnia zło*

I niekoniecznie chrześcijańskie pojęcie grzechu jest równoznaczne ze złem, bo przecież nasza natura została nam nadana w akcie stworzenia, więc nie może być zła („Gdzieś tam”). Poeta szuka i pyta dotykając przestrzeni transcendentalnej. Tęskni za niewidzialnym Bogiem i w swoim rozdarciu marzy, by Go zobaczyć („\*\*\*Dusza”). Prowadzi nasz wzrok tam, gdzie wysychają łzy, a człowiek sięga gwiazd – w niebo, tam odnajduje ukojenie i otuchę („Taki los”). Chwila oddechu jest niezbędna, by przetrzymać ból – i ten fizyczny, wynikający z choroby, i ten płynący z tęsknoty i samotności. Można *pokozać ukrzyżowanego / nie krzyż* („Znijaczenie”). Wiersz pomaga nie tylko uporządkować myśli, postawić właściwe pytanie samemu sobie, ale pozwala też oswoić cierniową drogę.



Czasem z krzykiem wyrzucamy z siebie cierpienie (choćby wtedy, gdy na świat przychodzi nowy człowiek) i niechciane emocje. Krzyk obleczone w słowo pełni rolę katharsis. Pomyślmy, czy można oswoić raka? Zatrzymajmy się przy wierszu „Obłąkawianie”. To utwór będący w całości metaforą. Jest w nim ból, który chciałoby się ukoić *narkotycznym szeptem* – jak powie autor, ale jednocześnie nadzieja, że kiedyś piekło się skończy, że droga cierpienia prowadzi do świtu. Nie ma nic gorszego, niż zabijanie nadziei. Ludzie czasem zapominają, że najbardziej są potrzebni drugiemu człowiekowi wtedy, gdy ten przechodzi trudności. I tu otwiera się kolejna przestrzeń w tomie Kazimierza Burnata – oswajanie uczuć – tych chcianych i tych niechcianych. Poeta pisze o bliskości spełnionej („Narodziny”) i niespełnionej („Odrzucony”, „Owoc”), o fałszywej przyjaźni, która potrafi wbić nóż w plecy („Cięcie”). Chciałby zostawić za sobą wszystkie okropności świata

(„\*\*\*Uwolnione”) – czy pomoże mu w tym, czy przeszkodzi *błysk czyichś oczu*? Próbuje odnaleźć to, co piękne i dobre spoglądając w wieczorne niebo – jak przypuszczam – z dzieckiem („Przeistoczenie”), odnaleźć spokój w barwach jesiennego poranka („W labiryncie”) czy swój mały raj we wspomnieniu lata („\*\*\*Oczekiwaniem niemal każdego”). Te wiersze uświadamiają nam, że poza tym, co doskwiera w codzienności należy szukać tego co przywraca utraconą harmonię, co sprawia, iż czujemy, że

*jeszcze nie czas  
na niebo  
ani piekło -  
wzięcie  
(„\*\*\*Suche płuca”)*

Zachęcam do sięgnięcia po książkę, „W przestwór”. To zbiór bardzo dobrych, intrygujących, utworów poetyckich, wobec których nie da się być obojętnym.

**Joanna Słodyczka**

Kazimierz Burnat, *W przestwór*. Fotografie: Anna Burnat, Wydawnictwo Dolnośląski Oddział Związku Literatów Polskich, Wrocław 2022, s. 94.



## Poezja bliskim słowem pisana

Tomik poezji **Dragana Jovanowica Danilova** pt.: „Homer przedmieścia” przysłała mi Olga Lalić-Krowicka, poetka, tłumaczka literatury serbskiej na polski i polskiej na serbski na co dzień mieszkająca w Dukli na podkarpaciu. Wydało tomik wydawnictwo Ruthenus. Rafał Barski Krosno. Wiersze z serbskiego na polski tłumaczyła Olga Lalić-Krowicka.

Zawsze zaczynam tomik poezji od kartkowania stron i zatrzymywaniu wzroku na przypadkowych wersach, to tu to tam bo już po nich widzę czy chwyci mnie za serce i spowoduje iż z głodną niecierpliwością otworzę pierwszą stronę i oddam się tomikowi w całości...

A potem kiedy już wiersze zaczynają układać się w nastrój, wyłania się z nich chwila zatrzymująca byt nasz powszedni, pojawia się tęsknota za czymś co było, ale też tym co może kiedyś będzie, zaczynam szukać słów, które szczególnie będą wyrażały to co ja sama czuję, ale do tej pory nie umiałam ich tak sformułować aby oddały mi moją prawdę. I jeśli takie słowa znajduję lub kilka splecionych w warkocz mojej wewnętrznej prawdy wtedy

poetza autora staje mi się tak bliska jakbym była w swoim domu, do którego zaprosiło mnie jego natchnienie.

Już od pierwszego wiersza w tomiku pt: „Starożytni nauczyciele” czuję swój dom. Bo przecież starożytność to moje uwielbienie tego czystego źródła, z którego wszystko wyszło i trwa nieprzerwanie.

**Starożytni nauczyciele**

*Ciągle od nowa wracają do naszych dni  
starożytni nauczyciele, skąpi w słowach,  
trochę zmęczeni ciężką pracą, którą  
należy uznać, zrobić.  
Obdarzeni darami,  
godnymi bogami,  
o zmierzchu mijają agorę  
lub spacerują brzegiem,  
z dala od marnotrawnej  
rozrywki ludzkości  
i hałaśliwych pijaków  
ze śmierdzących tawern.*

*Nasi starożytni nauczyciele,  
starzy prorocy, świadkowie  
przyszłości, żyliśmy  
w bardziej niejasnej epoce  
snów; teraz w waszych  
niewypowiedzianych słowach  
szukamy echa.*

*Ponieważ wszystko staje się jasne,  
gdy się patrzy  
na sam rezultat: nigdzie  
nas nie będzie bez was,  
nasi starożytni nauczyciele.  
I znowu poniesiemy porażkę,  
Jeśli nie zniszczymy waszych  
wielkich królestw.*

Kilka wierszy dalej to co mogłabym powiedzieć o sobie, ale nie potrafiłam tak dobrać słów.

Oto fragment wiersza pt.” Koncert dla nikogo”, którego tytuł to już zapowiedź moich myśli:

*W każdym razie nie jestem kimś,  
kto kiedykolwiek wiedział, jak się zrelaksować.  
W dość zwyczajne dni panował strach  
jako mój jedyny majątek ruchomy  
i nieruchomy...*

Daniłow łączy delikatne osobiste przeżycia jak w wierszach poświęconych córkom Isabeli i Sofii, ojcu, babci, wspomnieniom z dzieciństwa, kobietom, ciału, przemyśleniom swoje wrażliwej poetyckiej duszy z troską o przyszły kształt świata, który jest w rękach dzieci, polityków i... poezji. Ale jakże pełna niepokoju jest ta troska bo zanim wykuje się z niej prawdziwa wartość musi przejść przez swoje piekło.

Oto fragment wiersza pełnego goryczy i rozpaczony dotyczy tych, którzy są najsłabsi, a zaczynają wymykać się nam, nie umiemy już zapanować nad ich dzieciństwem, ujarzmić złe demony:

(Dokończenie na stronie 20)

# Poezja bliskim słowem pisana

(Dokończenie ze strony 19)

## Nasze dzieci

Nasze dzieci są bez oczu.  
Nasze dzieci zdziczyły  
I mogą robić co chcą.  
Nasze dzieci już nas nie traktują  
na poważnie.  
Nasze dzieci nie mogą znieść proroków.  
Nasze dzieci są doskonale zsocjalizowane  
ewentualnie mamy jednego lub dwóch  
przyjaciół,

A nasze dzieci w sieci mają ich tysiące.  
Nasze dzieci nie są świadome, że walizki  
Kiedyś noszono w dłoni.  
Nasze dzieci są naszym nie rozumem, który nas  
usprawiedliwia.

Nasze nieletnie dzieci bardzo się martwią  
O przyszłość swoich rodziców.  
Nasze dzieci myślą, że rodzice nie są ludźmi.  
Nasze dzieci żyją pod ziemią i swoją  
Dziczą rządzą światem...

Podobnie odnosi się do poezji przyszłości  
w wierszu „Młodzi, wściekli poeci”:

Najważniejsze jest to co pozostaje po uczcie!  
Mniej więcej co pięć do sześciu lat  
Na scenie pojawia się nowe pokolenie młodych  
ludzi,

gniewni poeci gotowi zmienić świat....  
I rzeczywiście, słusznie się gniewają; tyle całej  
tej

nieznośniej poetyckiej zgnilizny wokół;  
tyle brudnego sentymentalizmu, który  
powoduje gniew; demony folkloru, które  
powinno się  
przebić kołkiem głogu...

I konkluduje:

I tylko dopiero jeden z nich / ten, który został  
upokorzony przed  
ciemnym lustrem w sobie/ jak starożytny  
egipski  
skarabeusz w bursztynie przedłuża swoją  
żywołność.

Ale oto i jest śmierć, która jest nieodłącznym  
elementem życia.

## Kaniony

Starość przychodzi, gdy zaczynamy żyć ze  
śmiercią

Jak z wiosną. Nie trzeba być uczonym  
encyklopedystą, aby wiedzieć, że rzeczywistość  
nie może być

oszukana....

(fragment)

Dragan Jovanovic Danilov urodził się w  
1960 roku w Pożedze w Serbii, studiował w

Belgradzie historię sztuki, wydał wiele tomów  
wierszy.



Dziękuję Oldze Lalić- Krowickiej za przy-  
słanie mi tego tomu. Była to poetycka uczta,  
odnalazłam w niej swoje myśli, kłaniam się z  
szacunkiem i uznaniem Poecie!

Ewa Radomska

## Kilka refleksji o upadku kultury w nowej Polsce

W Polsce Ludowej powszechnie przyjęty  
był pogląd, w myśl którego byt określa świadomość.  
Ale mimo że prymat przyznawano sferze  
ekonomicznej, to zdawano sobie sprawę ze  
znaczenia kultury i z jej wpływu na świadomość  
Polaków.

Przypomnę, że w Polsce Ludowej kultura  
charakteryzowała się bardzo wysokim poziomem  
rozwoju. Mieliśmy wspaniałych twórców  
kina, teatru, znakomitych malarzy i kompozytorów.  
Teatr Telewizji, należał do najlepszych  
w świecie. Teatr Grotowskiego i Kantora, miał  
znaczenie światowe. W Polsce Ludowej kwitło  
życie literackie. Istniały pisma literackie jak na  
przykład: „Literatura”, „Literatura na świecie”,  
„Kultura”, „Twórczość” (do dziś ukazująca się),  
czy „Życie Literackie”, „Nowe Książki”.

Pomagano osobom utalentowanym w  
debiutach literackich. Były wydawnictwa, które  
pełniły tę rolę, by wymienić przede wszystkim  
Młodzieżową Agencję Wydawniczą oraz Iskry.  
Instytut Wydawniczy PAX wydawał książki  
wielu autorom polskim i publikował przekłady  
książek wielu wybitnych pisarzy z zagranicy.  
Można by rzec, że Polska żyła literaturą piękną.  
Promowano czytanie książek, organizując kier-  
masze książek, festiwale literackie, liczne spot-  
kania z pisarzami, poetami i dramaturgami.  
Organizowano je także w małych miasteczkach  
dokąd przyjeżdżali znani twórcy.

Przypomnę też wspaniałe kabarety literackie,  
które ze swej natury miały wpływ na

szeroki krąg publiczności. Odnaczały się bar-  
dzo wysokim poziomem artystycznym. Wy-  
mienię tu na przykład kabaret „Starszych Pa-  
nów”, kabaret „Dudek”, kabaret Olgi Lipińskiej,  
a także kabaret Laskowika i Smolenia.

Niestety, zmiany po 1989 roku doprowa-  
dziły do upadku sztuki i literatury pięknej. Tak  
zwana demokracja i tak zwana wolność „otwo-  
rzyły szeroko drzwi” grafomanom i temu, co  
pospolite w sztuce oraz literaturze pięknej.

Dziś każdy może zostać pisarzem, poetą,  
utworzyć kabaret. Decydują o tym pieniądze i  
koneksje. Mierny pisarz dysponujący pie-  
niędzmi może wydać swoją książkę, płacąc  
określonemu wydawnictwu. Niestety, sztuka i  
literatura stały się towaram, jak prawie  
wszystko w gospodarce neoliberalnej, w której  
żyjemy. W Polsce Ludowej było to niemożliwe,  
gdyż o wydaniu książki decydowała wartość  
merytoryczna, potwierdzana recenzjami wy-  
bitnych krytyków literackich. Dziś krytyka zo-  
stała zastąpiona przez naciski powiązań towa-  
rzyskich i grę interesów. Poziom obecnych ka-  
baretów jest żenujący. Króluje muzyka disco-  
polo zaspokajająca najniższe gusta odbiorców.  
Publikowane tomiki poetyckie bywają pisane  
wadliwą polszczyzną. Upadek języka staje się  
wszechobecny.

Nowością w stosunku do Polski Ludowej –  
w związku z rozwojem cywilizacji – jest inter-  
net. W nim każdy może zamieszczać to, co na-  
pisze, niezależnie od wartości literackiej.

Dawno temu genialny Lem napisał, że w  
morzu grafomanii trudno jest znaleźć warto-  
ściowy tekst. Dodam od siebie, że obecnie  
mamy ocean grafomanii, więc jeszcze trudniej  
jest znaleźć wartościowe utwory.

Po 1989 roku nastąpiła u nas powszechna  
prywatyzacja i ona bardzo negatywnie wpły-  
nęła na stan polskiej kultury. Nie ma na przy-  
kład państwowych wydawnictw, które dbały o  
wysoki poziom publikacji.

Wartością nadrzędną stał się zysk. Rozwój  
duchowy społeczeństwa nie interesuje rzą-  
dzących... Tym samym troska o kulturę stała się  
drugoplanowa w porównaniu ze światem inte-  
resów.

Nawet edukacja została podporządko-  
wana prawom rynku. Określone badania nau-  
kowe są wyznaczane przez interesy koncer-  
nów. Zgodnie z teorią neoliberalizmu ekono-  
micznego państwo przestało pełnić funkcje  
opiekuńcze wobec obywateli, a więc także wo-  
bec twórców kultury.

Upadek poziomu edukacji i kultury no-  
wego pokolenia polskiej inteligencji jest za-  
trważający. Wśród rozmaitych czynników,  
które na to wpływają należy wskazać zgodę na  
czytanie w szkołach bryków zamiast dzieł lite-  
rackich. Zagrożeniem szczególnym staje się  
sztuczna inteligencja. Pięcy cywilizacji za-  
chwycają się możliwością na przykład pisa-  
nia tekstów literackich przez sztuczną inteligencję.  
Nie zdają sobie sprawy, że twórczość arty-  
styczna, literacka, a także naukowa jest rezulta-  
tem nie tylko racjonalnych przemyśleń, ale  
także wrażliwości, uczuciowości oraz intuicji  
człowieka, których pozbawiona jest sztuczna  
inteligencja.

Jan Stępień

## Filozofia codziennosci prof. Marii Szyszkowskiej (205)



Fot. Andrzej Dębkowski

Targnięcie się na własne życie zaznacza się głównie w kręgu psychonerwicowców. Ich ponadprzeciętna wrażliwość i uczuciowość są czynnikami temu sprzyjającymi. Rozwinięta wyobraźnia to też czynnik sprzyjający samobójstwu, wzmacnia bowiem wizję możliwego nieszczęścia na przykład w rodzaju krachu finansowego i przewidywanych skutków.

Wśród psychopatów samobójstwa niemal nie występują. Regułą są samobójstwa spowodowane wysokim natężeniem stanu emocjonalnego. Znakomitym przykładem wyjątku od tej reguły może być samobójstwo Hitlera, który był psychopata, a jednak targnął się na swoje życie. Uczynił to jednak w rezultacie racjonalnej decyzji. Psychopatów charakteryzuje niski poziom rozwoju uczuć i mała wrażliwość. Motywem postępowania jest przede wszystkim chęć władzy i dóbr materialnych. Rozum psychopatów pozostaje na usługach popędów. Zdaniem Kazimierza Dąbrowskiego największą liczebnie grupę psychopatów można odnaleźć wśród polityków. Ten pogląd wyraził między innymi w książce *Moralność w polityce*. Bezwzględne dążenie do zaspokojenia instynktów nie jest równoważone empatią, na którą nie ma miejsca w życiu psychicznym psychopatów.

Bywa, że przepisy prawne sprzyjają wywoływaniu stanów psychicznych prowadzących do targnięcia się na własne życie. Podam dwa przykłady. Otóż wbrew fundamentalnym zasadom prawnym wywodzącym się jeszcze ze starożytnego Rzymu – a prawo na kontynencie europejskim do nich się odwołuje – zdarza się, niestety, działanie prawa wstecz. Taka niemożliwa do przewidzenia zmienność przepisów prawnych prowadzi nieraz do dramatycznej sytuacji materialnej na przykład w wyniku nagłej zmiany waluty w państwie lub obniżenia przyznanych już rent i emerytur określonym grupom ludzi jako wyraz zemsty politycznej. Inny przykład to odległe od humanizmu odbieranie trzyletnich dzieci więźniarkom. Kontakt z niemowlęciem i zajmowanie się nim rozbudza instynkt macierzyński, który zresztą jest w kobietach na ogół bardzo silny. Odbieranie im trzyletniego dziecka zostawia rozpaczliwą pustkę. Oczywiście, więź-

niowie – inaczej niż nieodsiadający kary obywateli – są w Polsce nawet w dobie neokapitalizmu poddani opiece państwa. Możliwość samobójstwa w zakładzie karnym jest mocno utrudniona w wyniku kontroli strażników, co nie znaczy, że osadzone nie mają myśli samobójczych. W warunkach zewnętrznej wolności dochodziłoby zapewne do prób targnięcia się na własne życie.

Znajomość psychiki człowieka jest na ogół znikoma. Także prawnicy nie reprezentują jej w sposób wystarczający, chociaż rozstrzygają o losach niejednego człowieka. Od lat psychologia nie jest przedmiotem obowiązkowym ani nawet fakultatywnym na Wydziałach Prawa. Oczywiście trudno oczekiwać, by znajomością psychiki człowieka, w tym matek, którym legalnie odbiera się dzieci, odznaczali się prawodawcy. Wszak w państwach demokratycznych są nimi parlamentarzyści najczęściej wybrani przypadkowo lub dzięki temu, że umieją dać wyborcom „kibelasę wyborczą”.

Uwaga osób mających władzę w Polsce skupia się niestety bardziej na problemie embrionów, płodów niż na narodzonych. W rezultacie nie ma protestów wobec sytuacji kobiet pozbawianych po trzech latach możliwości dalszego opiekowania się dzieckiem. Dodam, że w zakładzie karnym w Grudziądzu – jednym z wzorowo zarządzanych – troskliwie przygotowuje się osadzone do roli matki, po to by potem, gdy rozwiną się uczucia, dziecko im odebrać w majestacie prawa.

Rozmaite bywają metody pozwalające się uporać z wyjątkowo negatywnymi sytuacjami. Paradoks zawiera się w tym, że w warunkach wolności o wiele trudniej obecnie znaleźć pomoc niż w zakładzie karnym, o ile jest właściwie zarządzany, a strażnicy, szczególnie wychowawcy, odznaczają się powołaniem do wykonywania swojego zawodu. Jego wyrazem było zorganizowanie pokazu mody w zakładzie karnym w Grudziądzu. Skazane uszyły suknie, torebki, ozdoby i ten czas przygotowania do pokazu stanowił przeciwwagę dla możliwych niebezpiecznych w skutkach stanów depresyjnych.

Pierwszym myślicielem, który wskazał na świat kultury jako źródło cierpień był Zigmunt Freud. Zresztą jedno z jego dzieł nosi taki tytuł. Otóż obcowanie z dziełami kultury, a więc czytanie, słuchanie, oglądanie – słowem współuczestniczenie w tym, co tworzą wielcy pisarze i artyści pogłębia świat wewnętrzny człowieka. Wyostrza zdolność obserwacji, pogłębia uczuciowość i wrażliwość, a także wyobraźnię. Prowadzi od egocentryzmu do przeżywania problemów dotyczących ludzkości. Zarazem jednostki mniej odporne psychicznie, zgłębiając problemy na przykład osób żyjących na innych kontynentach, a także na własnym, stają się podatne na myśli samobójcze, które powstają wskutek przeżywania własnej beznadziei. Rozpiętość między współuczestwaniem cierpień innych a własnymi wysoce ograniczonymi możliwościami, by temu przeciwdziałać, sprzyja tendencjom samobójczym. Płyną one z przeżycia własnej beznadziei.

W Laboratorium Higieny Psychiczej

mieliśmy do czynienia z trudnym przypadkiem kogoś, kto kierowany nie tylko niepokojem własnym, ale też poczuciem bezsensu istnienia każdego, kto jest skazany na śmierć, poszukiwał odpowiedzi na pytanie, dlaczego musimy umierać. Studiował najpierw na wydziale teologii, a następnie filozofii. Nie znajdując żadnej odpowiedzi na swój bunt wobec losu, postanowił – mając poczucie własnych ograniczeń – że zakończy swoje życie w warunkach godnych człowieka. A więc nie w przypadkowych okolicznościach, na przykład na przystanku tramwajowym, w pociągu, w karetce pogotowia i w dodatku w niemożliwym do przewidzenia czasie, lecz we własnym mieszkaniu i w momencie, gdy zdoła zebrać w sobie potężną siłę pokonującą instynkt samozachowawczy. Przytoczyłam ten przykład, jako ilustrację tezy, że **wyostrzona świadomość człowieka i zdolność do współodczuwania cierpień rzeszy ludzi jest potencjalnym podłożem czynów samobójczych.**

Tego niebezpieczeństwa nie należy się spodziewać w ogromnych liczebnie kręgach osób zadowolonych z siebie, nieczułych na los innych, zwłaszcza osób nienależących do kręgu rodziny. Pograżeni w biologicznych problemach pomnażania gatunku ludzkiego oraz w zmiernianiu ku dobrom materialnym są niewątpliwie wolni od tendencji samobójczych.

W dziełach psychiatrów żyjących w kręgu kultury europejskiej pojawia się przekonanie, że ryzyko samobójstwa występuje częściej, jeżeli w danej rodzinie takie zdarzenia miały miejsca. Pojawia się więc myśl o dużym wpływie czynników dziedzicznych. Oczywiście, niejedynym psychiatrą – inaczej niż Kazimierz Dąbrowski – ujmując samobójstwo jako chorobę, jako efekt spotęgowanej depresji. Między innymi znajdujemy ten pogląd nawet w *Melancholii* Antoniego Kępińskiego. Pragnę podkreślić, że nie ma związku koniecznego między czynami samobójczymi a depresją. Bywa, że rozpacz ogarnia człowieka pogodnego, a jej rozmiar nieoczekiwanie prowadzi do samobójstwa.

W Laboratorium Higieny Psychiczej mieliśmy do czynienia z człowiekiem, w którym otoczenie wyrabiało poczucie winy z powodu jego homoseksualizmu. Rodzina go odrzucała, ale znosił odrzucenie przez rodziców dzięki oparciu w przyjaźni, w tym w więzi z zakonikiem. Ta trudna życiowa sytuacja gwałtownie się załamała, gdy się zakochał. Początkowo miłość z nowo poznanym uszczęśliwiła go. Głębokie załamanie nastąpiło po jakimś czasie, ponieważ ukochany był biseksualistą. Miłość naszego pacjenta była tak wielka, że któregoś dnia, czekając bezskutecznie na umówione spotkanie z kimś, kogo kochał, powiesił się w swoim mieszkaniu. Ten ostateczny czyn był zarazem formą zemsty, bo wiedział, że ukochany, mając klucze do jego mieszkania, kiedyś przyjdzie i go zobaczy.

cdn.

Maria Szyszkowska

# Moja walka z rakiem

(50)

21 stycznia 2020

Wczoraj wieczorem czytałem też fragment „Zarysu dziejów religii”, konkretnie o religii Persów i Hetytów. Dawniej w takich książkach pragnąłem znaleźć potwierdzenie moich poglądów, że religia jest tylko wymysłem człowieka, by uchronić się od swoich lęków i obaw. Religia – tak sobie wówczas wyobrażałem – wynikała z braku racjonalnej wiedzy człowieka o świecie. Ludzie wierzący to nieoświecony lud, przywiązany do swej tradycji. Tak to sobie wszystkim pięknie układałem, by tkwić i utwierdzać się w swoim agnostycyzmie. Nigdy tak naprawdę nie byłem ateistą zwalczającym religię, nie, ale uważałem, że człowiekowi wykształconemu jest ona zbędna. Owszem, doceniałem jej rolę w życiu społecznym, pielęgnowaniu tradycji, kształtowaniu i nauczaniu zasad moralnych, ale byłem daleki od wszelkich dogmatów. Patrzyłem na religię w sposób pragmatyczny i wybiórczy.

22 stycznia 2020

I znów przeczytałem piękne opowiadanie Olgi Tokarczuk „Zdobycie Jerozolimy. Raten 1675” o arystokracji, który z powołania i usposobienia był raczej reżyserem teatralnym czy operowym niż zarządcą swoich dóbr. Chłopi zamiast siedzieć na polu przygotowują widowisko operowe. Przypomina on ostatniego władcę Bawarii, który oglądał widowiska operowe w samotności i budował zamki na szczytach gór. Ale tacy arystokraci się zdarzali nie tylko w Niemczech. Czy inna była nasza Izabella Czartoryska, czy Jan Potocki. O królu Stasiu też się mówi, że byłby doskonałym ministrem kultury, niestety rola władcy go przerosła. Jest tam tylko małe potknięcie, przynajmniej przeze mnie zauważone, gdy narrator wspomina o chłopach kopiących ziemniaki czy kartofle. Jeszcze wtedy uprawa kartofli, które były przywiezione z Ameryki przez Kolumba, nie była tak powszechna. To dopiero zaczyna się w XVIII wieku, a tak naprawdę uprawia się ziemniaki na szeroka skalę i stają się one podstawą wyżywienia dopiero w XIX wieku.

W kościelnych pismach głośno o książce kardynała Roberta Saraha „Z głębi serca” z przedmową Benedykta XVI. Okazuje się, że kardynał, który należy do kościelnych konserwatystów, nadużył zaufania papieża emeryta. Benedykt XVI nie zgodził się być współautorem tej książki, bo wyglądałoby na to, że stoi w opozycji wobec papieża Franciszka I. W tej sprawie interweniował też jego sekretarz abp Gaenswein. Ale chyba niewiele to pomoże, bo już wychodzą kolejne jej tłumaczenia na francuski, włoski czy niemiecki, a pewnie i angielski. A w kinach wyświetlają film zrealizowany przez Netflixa pt. „Dwaj papieże”, pretendujący nawet do Oscara. Nominacji jednak nie dostał. Coraz więcej informacji o nowatorskim podejściu papieża Franciszka do obecnych czasów mamy w Tyg. Pow., który jest zdecydowanie „za” proponowanymi zmianami i reformami, jak w przypadku synodu biskupów Amazonii. Pozostałe tygodniki kościelne, mające duże

nakłady jak np. Gość Niedzielny czy Niedziela, tylko zewnętrznie – tak mi się wydaje – popierają naukę papieską, a w istocie rzeczy są bardzo konserwatywne i niechętnie proponowanym zmianom, jakie inicjuje Franciszek. Można się nawet domyślać, że większość polskiego episkopatu też podchodzi do słów papieża z daleko idącą rezerwą i wstrzemięźliwością.

23 stycznia 2020

Sejm obradował nad przyjęciem ustawy o sądownictwie, zwanej represyjną, i w końcu ją przyjął wbrew Senatowi i opiniom środowiska sędziowskiego i prawniczego. Zwołano też na dziś 3 izby Sądu Najwyższego, które oceniły stan prawny naszego państwa. Przyjęto też uchwałę, która mówi wyraźnie, że wadliwe, niezgodne z Konstytucją powoływanie przez nową KRS składów sędziowskich właściwie unieważnia wyroki sądów. Ale aby nie tworzyć anarchii i nie pogłębiać tego, co się już stało, prawo nie będzie działać wstecz. Sejm odwołał się do Trybunału Konstytucyjnego, któremu przewodniczy Julia Przyłębska, mianowana na to stanowisko przez rządzących polityków. Trybunał Konstytucyjny nie może rozstrzygać sporów kompetencyjnych między Sejmem i Sądem Najwyższym. Spór jest zatem bezprzedmiotowy. Na tych subtelnosciach może znać się prawnicy. Dla mnie to wszystko jest mało zrozumiałe. Rządzący nazywają posiedzenie wszystkich 3 izb Sądu Najwyższego jak prywatną sędziowską dyskusję, która nie wpłynie na przyjęcie przez Sejm ustawy o sądownictwie i do niczego Sejm nie zobowiązuje. Sąd Najwyższy przyjął jednak uchwałę w sprawie obecnej sytuacji w polskim sądownictwie po mianowaniu nowych sędziów przez KRS.

24 stycznia 2020

Prezes SN, Gersdorf, na słowa Morawieckiego, który przekazał wniosek na temat wczorajszej uchwały SN do Trybunału Konstytucyjnego, by zbadała jej zgodność z Konstytucją, odpowiedziała, że Trybunał nie ma żadnych uprawnień w sprawie orzecznictwa sądów. Najgorsze, że ten spór niewiele osób rozumie. Pewnie, że najlepiej zrobić tak, jak to było na spotkaniu prezydenta z górnikami w Katowicach i powiedzieć, aby oni rozstrzygnęli ten spór czy przeciwstawili się „sędziom – mącielowi”. Tylko jak? Przy pomocy oskarżów i kilofów? Pamiętam, że podobną metodą posługiwali się prezydenci Rumunii, Iliescu, ale jeszcze przed przystąpieniem R. do Unii Europejskiej, czyli w latach 90. A u nas – Gomułka – wobec studentów w 1968 r., dając robotnikom, oczywiście partyjnym, do rozgania studentek manifestacji pocięte kable. W Katowicach też był aktywny związkowy, a więc ludzie ideowi, wywodzący się z „S”.

W „TP” interesujący jest też artykuł Andrzeja Rosiaka „Strona czynna” o George’u Orwellu, pisarzu angielskim, którego prawdziwe nazwisko brzmiało: Eric Blair. Przyjął jednak pseudonim, by rodzina nie musiała się wstydzić jego nieudanych książek. A dziś wiemy, że jego książki „Folwark zwierzęcy” czy „Rok 1984” stały się sławne w całym świecie. Poglądy Orwella były tak skomplikowane, że powołują się na niego ludzie z prawa i lewa. Oficjalnie Orwell sympatyzował jednak z socjalistami i popierał w wyborach laburzystów, a więc Partię Pracy. Miał pochodzenie arystokratyczne, ale lubił przebywać w proletariackim środowisku. Nienawidził jednak

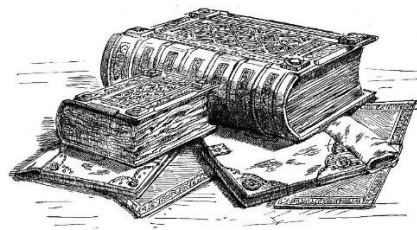
bolszewickiego komunizmu, któremu przeciwstawiał socjalizm w wersji angielskiej, z gospodarką rynkową. Zarzuca się mu także mizoginizm i homofobię.

25 stycznia 2020

I znów kolejne wspaniałe opowiadanie Tokarczuk „Ariadna na Naksos” (bohaterkami są 2 kobiety, matka bliźniąt i solistka operowa). Jestem zachwycony, podobnie także innymi „Profesor Andrews w Warszawie” (początek stanu wojennego), czy „Skoczek” – portret psychologiczny młodych ludzi, kobiety i mężczyzny. To naprawdę znakomity warsztat literacki, nietuzinkowa, mistrzowska robota, majstersztyk. Na okładce „Gry na wielu bębenkach”, wydanie z 2002 r., napisano „finalistka Nike”, a więc jednak wtedy byli jeszcze od niej lepsi.

Dziś byłem też w Rzeszowie na spotkaniu opłatkowym naszego oddziału ZLP, które odbywało się w Domu Kultury na ul. Kochanowskiego 29, za dworcem PKP. Prowadziła je Małgosia Żurecka, prezeska naszego oddziału. Ludzi, reprezentujących różne lokalne stowarzyszenia literackie i regionalne, a także władze i przedstawicieli placówek kulturalnych pełna sala, no i sympatyczna atmosfera. Po oficjalnych wystąpieniach i życzeniach czytano utwory podkarpackich poetów. Mieczysław Łyp, b. prezes naszego oddziału, przygotował z tej okazji okolicznościowy nowy numer rocznika „Krajobrazy”, a w nim także nasz dorobek. Jest w nim mój wiersz o tematyce bożonarodzeniowej, a także omówienie zbioru opowiadań „Wilki morskie na łądzie”. Wręczono przy okazji doroczne nagrody rocznika „Krajobrazy” w różnych kategoriach, m.in. w dziedzinie prozy, poezji, krytyki literackiej i za promowanie twórczości podkarpackich poetów i prozaików. Laureatami ze Stalowej Woli zostali Małgosia Żurecka, Anatol Diaczyński, Mirosław Grudzień, a także współpracujący z tutejszym środowiskiem literackim – Ryszard Mścisz. Nagrody „Krajobrazów” rozdano po raz pierwszy. Tak na marginesie dodam, że spotkanie opłatkowe wyglądało zupełnie inaczej niż dotychczas. Nie byłem na wielu, ale to porównując z poprzednimi, które widziałem, wyróżniało się poziomem, frekwencją i organizacją. Była też część artystyczna: występ chóru męskiego, a także prezentacja wierszy naszych poetów. Niestety, ok. 15 musiałem opuścić spotkanie, bo miałem okazyjny samochód. Ryszard Mścisz prosto z Rzeszowa jechał do Stalowej Woli do swej mamy, która jest w naszym szpitalu. Udane spotkanie! Dobra robota! Wszyscy koledzy i znajomi, którzy wiedzieli o mojej chorobie, widząc mnie w takiej formie byli zaskoczeni kondycją fizyczną i wyglądem. Kręcili nawet głowami czy to nie duch jakiś nawiedził ich po zgonie. Z uśmiechem odpowiadałem: „Nie, nie. To ja we własnej osobie. Opatrzność nade mną czuwa. Proszę mieć to na uwadze!”.

Mirosław Osowski



## POEZJA

**Janusz Andrzejczak**, *Wędrownia*. Na okładce, obwolutie oraz wewnątrz tomu wykorzystano prace autora. Na stronie przedtytułowej autor na fotografii Anny Worowskiej. Projekt graficzny i typograficzny: Bernard Nowak. Wydawnictwo Test, Lublin 2022, s. 296.

**Sławomir Domański**, *Sajlent disko*. Projekt okładki: Tomasz Fronckiewicz. Seria *Faktoria Poezji*, tom 25. K.I.T. Stowarzyszenie Żywych Poetów, Brzeg 2023, s. 64.

**Jerzy Jankowski**, *M-Wy-My*. Stowarzyszenie Promocji Twórczości Villa Foksal, Grodzisk Mazowiecki 2022, s. 60.

**Aneta Kamińska**, *Pokój z widokiem na wojnę*. Rysunki: Kateryna Michalicyna. Projekt okładki: Jakub Pszoniak. K.I.T. Stowarzyszenie Żywych Poetów, Brzeg 2023, s. 330.

**Ewelina Kuska**, *Dziecko róży*. Projekt okładki: Tomasz Fronckiewicz. Seria *Faktoria Poezji*, tom 26. K.I.T. Stowarzyszenie Żywych Poetów, Brzeg 2023, s. 42.

**Jacek Mączka**, *Czwarta mgła. Ruta*. Projekt okładki: Tomasz Fronckiewicz. Na okładce wykorzystano grafikę Alexandra Spivaka. K.I.T. Stowarzyszenie Żywych Poetów, Brzeg 2023, s. 92.

**Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki**, *Inaczej nie będzie*. Wybór i posłowie Jakub Skurtys. Projekt okładki: Marianna Sztyma. Projekt typograficzny: Artur Burszta. Seria *Poezje*, tom 254. Biuro Literackie, Kołobrzeg 2022, s. 100.

*100 wierszy wolnych z Ukrainy*. Wybór wierszy, przekład, noty biograficzne, posłowie: Bohdan Zadura. Projekt okładki i opracowanie graficzne: Artur Burszta. Seria *Poezje*, tom 244. Biuro Literackie, Kołobrzeg 2022, s. 176.

**Kim Yideum**, *Histeria*. Przełożyli: Ewa Suh, Lynn Suh i Katarzyna Szuster-Tardi. Projekt okładki: Julia Koźmin. Projekt typograficzny Artur Burszta. Seria *Azja*, tom 1. Biuro Literackie, Kołobrzeg 2022, s. 92.

## PROZA

**Łeś Belej**, *Plan naprawy Ukrainy*. Przełożyli: Aleksandra Brzuzy, Maciej Piotrowski, Ziemowit Szczerek. Projekt okładki: Michalina Jurczyk. Ilustracja na okładce: Ziemowit Szczerek. Fotografia autora na okładce: Walentyn Kuzan. Projekt typograficzny: Marcin Hernas. Wydawnictwo Ha!art, Kraków 2023, s. 360.

**Stanisław Brejdygant**, *Zwierzenia*. Projekt okładki i stron tytułowych: Olga Wojewódzka. Zdjęcie autora: Karol Stępkowski. Seria *Archipelagi*. Grupa Wydawnicza Foksal, Warszawa 2023, s. 400.

**Artur Frysztacki**, *Kółko i krzyżyk*. Okładka Joanna Widomska. Wydawnictwo Novae Res, Gdynia 2022, s. 618.

**J.K. Kukuła**, *Uśmiechnij się do anioła*. Tom III. *Porządek rzeczy*. Projekt okładki: J.K. Kukuła. Wydawnictwo JQ; Selfpublishing, 2022, s. 278.

**Kenzaburó Ōe**, *Osobiste doświadczenie*. Projekt okładki: Anna Sztwiertnia. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2022, s. 248.

Irene Sola, *Ja śpiewam, agory tańczą*. Projekt okładki: Urszula Gireń. Projekt typograficzny: Robert Oleś. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2023, s. 224.

**Miłosz Waligórski**, *Pięć i pół kobiety*. Okładka i ilustracje: Zuza Charkiewicz / Podpunkt. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2022, s. 208.

*W kręgu Galerii. Antologia opowiadań*. Opracowanie graficzne, projekt okładki: J.M. Kracucki. Towarzystwo Galeria Literacka, Częstochowa 2022, s. 190.

**Katarzyna Zwolska-Plusa**, *Prząśniczki*. Okładka: Eryk Kluczny. Wydawnictwo ANAGRAM, Warszawa 2022, s. 98.

## NAUKA, SZTUKA KULTURA

*Bieg czasu, bieg atramentu. O czasopiśmie Mieczysława Grydzewskiego i o nim samym. Wspomnienia*. Wybór, opracowanie i wstęp Rafał Habielski. Projekt okładki i stron tytułowych Mimi Wasilewska. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2022, s. 376.

**Richard Butterwick**, *Światło i płomień. Odrodzenie i zniszczenie Rzeczypospolitej (1733-1795)*. Przełożył: Michał Ronikier. Projekt okładki i stron tytułowych: Kira Pietrek. Wybór ilustracji: Miron Kokosiński. Projekt i opracowanie map: Miron Kokosiński, Andrzej Najder. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2022, s. 760.

**Marek Cichocki**, *Walka o świat*. Projekt okładki i stron tytułowych: AKC / Ewa Majewska. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2022, s. 184.

**Gustave Dore**, *Dzieje Świętej Rusi*. Przełożył: Józef Waczków. Opracowanie graficzne: Joanna Kwiatkowska. Projekt okładki: Stanisław Salij. Wydawnictwo słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2022, s. 112.

**Anna i Jarosław Iwaszkiewiczowie**, *Listy 1951-1955*. Opracowanie, wstęp, przypisy i nota edytorska: Ewa Cieślak i Jerzy Wiśniewski. I strona okładki: Jarosław Iwaszkiewicz, Sopot, sierpień 1951. IV strona okładki: Anna

Iwaszkiewicz na plaży w Ustce, sierpień 1951. Projekt okładki, stron tytułowych i opracowanie typograficzne: Wojciech Stukonis. Wydawnictwo Akademickie SEDNO, Warszawa 2022, s. 448.

**Jerzy Jedlicki**, *Historia a świat wartości*. Wstęp: Maciej Janowski. Projekt graficzny i typograficzny, zdjęcie autora na okładce: Aldona Piekarska. *Biblioteka „Więź”*, tom 387. Towarzystwo „Więź”, Warszawa 2022, s. 416.

**Grzegorz Kozyra**, *Moje filmy, moja muzyka*. Projekt okładki: Marcin Bogusławski. Wydawnictwo Muzyczne POLIHYMNIA, Lublin 2022, s. 238.

**Weronika Murek**, *Dziewczynki. Kilka esejów o stawianiu się*. Projekt typograficzny: Robert Oleś. Ilustracja na okładce: Iwona Chmielewska. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2023, s. 108.

*Nekroprzemoc. Polityka, kultura i umarli*. Redakcja: Jakub Orzeszek, Stanisław Rosiek. Projekt okładki, graficzny i typograficzny: Zuzanna Leśniak, Stanisław Salij. Wydawnictwo słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2022, s. 600.

**Konrad Niemira**, *Bazgracz. Trzy eseje o Norbinie*. Projekt graficzny i typograficzny: Zuzanna Leśniak, Stanisław Salij. Fundacja Terytoria Książki, Gdańsk 2022, s. 374.

**Anna Romaniuk**, *Muzeum wyobraźni. Notatki o sztuce*. Projekt okładki: Michał Bobrowski. Fotografia autorki na okładce: Krzysztof Fajks. BookPlan.pl, [b.m.] 2022, s. 84.

**Józef Maria Ruszar**, *Na ziemi i w niebie. Szkice o ziemskiej i niebieskiej ojczyźnie Jana Polkowskiego*. Projekt typograficzny: Marcin Bruchnalski. Okładka: Aurelia Milach. *Biblioteka Krytyki Literackiej Kwartalnika „Nowy Napis”*. Instytut Literatury, Kraków 2022, s. 388.

**Judith Schalansky**, *Spis paru strat*. Przełożył: Kamil Idzikowski. Wydawnictwo Ha!art, Kraków 2022, s. 254.

**Reiner Stach**, *Kafka dzień po dniu*. Przekład i przypisy: Tadeusz Zatorski. Projekt graficzny i typograficzny: Janusz Górski. Wydawnictwo słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2022, s. 582.

**Aurelia Wyleżyńska**, *Kroniki wojenne 1939-1942*. Tom I. Opracowanie: Grażyna Pawlak i Marcin Urynowicz. Projekt okładki i stron tytułowych: Mimi Wasilewska. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2022, s. 696.

**Aurelia Wyleżyńska**, *Kroniki wojenne 1943-1944*. Tom II. Opracowanie: Grażyna Pawlak i Marcin Urynowicz. Projekt okładki i stron tytułowych: Mimi Wasilewska. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2022, s. 536.



# Ignacy S. Fiut

## niebo gwiazdziste...

monitorowi prorocy wieszczą:  
ocieplenie klimatu nas czeka  
pod znoszonymi podeszwami  
butów sól dobiera się do stóp  
wędrowca  
a on szuka przyjaciółki  
na te ciężkie czasy  
która zje z nim wieszercę  
i śniadanie  
kiedy noc zwinie żagiel  
gwiazdzistego  
nieba nad  
naszymi głowami

\* \* \*

czytać każdy może  
ten lepiej  
tamten gorzej  
a poeta nie czyta  
– jego czytają  
wiersze

\* \* \*

każda oferta  
nieskończonego  
dobra dla ciebie  
zawsze traci  
oszustwem  
i prowadzi  
do końca  
złudzenia  
– tylko kwiaty mu  
nie ulegają

\* \* \*

święte krowy  
rącze konie  
anielskie bociany  
docieklive sikorki  
stadne kawki  
– a co z inteligentnymi  
świniami

\* \* \*

jesień nakłada maskę  
kolorowych liści  
spod powiek wyciska  
ciepłe łzy  
zapowiada białe

gwiazdziste  
płatki śniegu  
ludzie nie wiedzą  
że czekają  
na białe  
szczęście

\* \* \*

nachalna uprzejmość  
konsekwentna grzeczność  
pozbawiają cię osobistego  
dobra  
komfortu spokoju  
dobrego samopoczucia  
– nie daj się!  
bądź nawet  
perfidnie  
chamski

\* \* \*

drzewa wstydy się  
własnej brązowej  
nagości  
palcem grożą  
promieniom słońca  
a psy  
na spacerze dowiadują się  
że świat oddycha  
pajęczyną spóźnionego  
lata

\* \* \*

kusi by odwiedzić piekło  
ale nasuwa się pytanie:  
czy czasem  
w naszym świecie  
nie jest bardziej gorąco?  
– nie wiem kto i kiedy  
rozstrzygnie to

\* \* \*

najczęściej  
czekają na Godota  
mężczyźni  
równouprawnienie  
spowodowało  
że dzisiaj  
kobiety także  
czekają  
– czy się doczekamy  
Razem raj  
na tej kupie  
śmieci?

# Najbogatszy lud na świecie

„Siali strach wśród innych Indian, unikali wojny z białymi. Zdziętkowała ich seria mordów, gdy na ich ziemi odkryto ropę. Dziś honor Osedżom próbuje oddać Hollywood – pisze **Bartosz Hlebowicz** w „Tygodniku Powszechnym”, numer 43/2023.

Jako pierwsi zetknęli się z Osedżami Francuzi w drugiej połowie XVII wie- u u ujścia rzeki Arkansas. Ich przodkowie przybyli tu zapewne z doliny Ohio, wypchnięci przez Irokezów.

W wiekach XVII i XVIII Osedżowie domino- wali w zachodniej dolinie rzeki Missisipi, czyli na preriach Arkansas i Missouri, kontrolując jedną z największych sieci handlowych w Ame- ryce Północnej. Trzymali na dystans Francu- zów i Hiszpanów, siali postrach wśród Pauni- sów, Delawarów, Caddo i Czoktawów, walczyli z Komańczami i Czirokezami. Indiańscy nie- wolnicy chwytni przez Osedżów byli cennym towarem poszukiwanym przez Francuzów - Osedżowie wymieniali ich na broń palną, dzięki której podbijali kolejne ludy.

Za swoje uznawali też ziemie dzisiejszej Oklahomy i Kansas, docierali aż do Gór Skali- stych, rzucając wyzwanie Siuksom. Byli co naj- mniej tak potężni jak lud Czerwonej Chmury, Siedzącego Byka i Szalonego Konia - również jak on wojowniczy i okrutni. Mówili zresztą spo- krewnionymi językami.

Jednak nawet w części nie zyskali podobnej chwały jak Siuksowie. W plemiennym rodow- dzie nie mają ani bohaterskich, ani rozpaczli- wych walk z amerykańską kawalerią. Mimo to należą do największych ofiar chciwości białych Amerykanów.

Ale też Amerykanie nie kryli podziwu dla Osedżów. „Nie mogę nie wspomnieć o wyglą- dzie tych mężczyzn. Są wysocy, dobrze zbud- wani i mają nie mniej naturalnej inteligencji, co inne ludy świata. Golą wszystkie włosy z głowy z wyjątkiem małego miejsca z tyłu głowy wiel- kości dłoni” – notował amerykański handlarz w 1806 roku.

Ich wzrost podziwiali też w pierwszej poło- wie XIX w. prezydent Thomas Jefferson i malarz George Catlin („Rasa najwyższych ludzi w Ame- ryce”). Catlin dodawał, że „ich ruchy są szybkie i pełne gracji”.



**Gazeta Kulturalna**

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543; e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący – **Andrzej Dębkowski**.

**Współpraca:** Józef Baran, Małgorzata Dębkowska, prof. Ignacy S. Fiut, Joanna Friedrich, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Iwosze, Stefan Jurkowski, Eugeniusz Kurzawa, Adam Lewandowski, Sławomir Łuczyński, Barbara Medajska, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszkowska, Andrzej Walter, Tadeusz Zawadowski.

**Współpraca techniczna:** Małgorzata Kotla.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębkowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.